



Szczęśliwego Nowego Roku 2025!



ANNA GORDJIEWSKA

Drodzy Czytelnicy! Nowy 2025 Rok niech przyniesie Wam radość, nadzieję oraz wiarę w pogodne jutro.

Zespół redakcji „Nowego Kuriera Galicyjskiego”

Premier RP Donald Tusk z wizytą we Lwowie

17 grudnia premier RP Donald Tusk odwiedził Lwów, gdzie spotkał się z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim. Podczas rozmów zadeklarował pełne wsparcie Polski dla Ukrainy w obliczu trwającej wojny. Zapowiedział przekazanie 45. pakietu pomocy militarnej oraz zaangażowanie Polski w działania na rzecz integracji Ukrainy z Unią Europejską i NATO, szczególnie w kontekście polskiej prezydencji w Radzie UE, która rozpocznie się w 2025 roku.

We Lwowie premier RP zaapelował do przywódców Unii Europejskiej, Stanów



FACEBOOK. KANCELARIA PREMIERA RP

Zjednoczonych oraz Kanady o dalsze wsparcie dla walczącej o niepodległość Ukrainy.

Misją każdego cywilizowanego narodu jest wsparcie Ukrainy w tym heroicznym boju. Naród polski będzie w tej kwestii bardzo konsekwentny – podkreślił premier Donald Tusk.

Premier zaznaczył również, że pokój między Ukrainą a Rosją

będzie możliwy tylko wtedy, gdy będzie sprawiedliwy. Wskazał, że wsparcie całego Zachodu jest kluczowe dla zapewnienia Ukrainie przyszłości.

– Przestańcie spekulować w jakiegokolwiek stolicy świata o możliwej przegranej Ukrainy. Ukraina broni się skutecznie przed rosyjską agresją, mimo że nikt nie dawał jej szans w pierwszych dniach wojny.

Musimy zrobić wszystko, aby Ukraina wyszła z tej wojny z poszanowaniem swojego terytorium, granic i z gwarancją bezpieczeństwa na przyszłość – podkreślił.

O sprawiedliwym pokoju mówił również prezydent Ukrainy. – Ukraina potrzebuje stabilnego, sprawiedliwego pokoju i wsparcia wszystkich partnerów. Tylko dzięki zdecydowanej, wspólnej pozycji oraz sile naszych sojuszników taki pokój może zostać osiągnięty – zaznaczył Wołodymyr Zełenski.

Ukraiński przywódca wyraził również wdzięczność Polsce za wsparcie dążeń jego kraju do członkostwa w NATO. – Polska doskonale rozumie, jak ważne jest, aby bezpieczeństwo w naszej części Europy było w pełni zagwarantowane i by wyeliminować geopolityczną niepewność – podkreślił Zełenski.

> strona 2

Nowe przejście graniczne Nizankowice – Malhowice



> strona 16

50 lat na scenie



> strona 4

Pożegnanie Rafała Żebrowskiego



> strona 8

Rozmowa ze Zbigniewem Chrzanowskim



> strona 14

Kod prenumeraty
УКРПОШТА
98780
46472



Pomoc wolontariuszek ze Zgorzelca dla żołnierzy ukraińskich

Puste miejsce przy wigilijnym stole w czasie wojny. Jesienią syn Aleksander, który już prawie rok służy w Siłach Zbrojnych Ukrainy obiecywał, że może dostanie krótki urlop i przyjedzie na Boże Narodzenie. Jednak sytuacja na froncie dyktuje swoje. On teraz znajduje się tam, gdzie nie ma choinki, a pierwsza gwiazdka na niebie jest zasłonięta przez eksplozje rakiet i bomb. Może będzie miał okazję połączyć się przez Starlink? Zadzwoił. Sygnał jest słaby. Szybko wymieniamy się życzeniami bożonarodzeniowymi. Zapewnił, że może jutro, pojutrze będzie tam u nich spokojniej, to pogadamy oraz napisze podziękowanie za paczki Dziewczynom z Okręgi Zgorzelec.

TEKST KONSTANTY CZAWAGA
ZDJĘCIA ARCHIWUM
KONSTANTEGO CZAWAGI

To już nie pierwsza pomoc polskich wolontariuszek jednostce wojskowej, gdzie służy syn. Latem, gdzie jeszcze stacjonowali na bagnistych terenach, na północnej granicy Ukrainy z Rosją, napisał, że żołnierzom dokuczają tam również komary. Ponieważ wtedy nie udało się znaleźć we Lwowie środków na komary, zwróciłem się do znajomych miejscowych wolontariuszy.



ANDRZEJ STECKIWI Z DZIEWCZYNAMI Z OKRĘGI ZGORZELEC

Andrzej Steckiwi, ze Stowarzyszenia Organizacji Pozarządowych na rzecz Promocji Euroatlantyckiej Integracji Ukrainy „Nasz Wybór” przekazał prośbę wolontariuszkom z organizacji Dziewczyny z Okręgi Zgorzelec. Znaleźli i wystali również różne środki medyczne, środki higieny oraz konserwy.

Kolejną pomocą od Dziewczyn z Okręgi Zgorzelec przywiózł do Lwowa Marek Rządowski z Wrocławia.

– Ja już dwudziesty raz w Ukrainie – powiedział. – Jestem przedsiębiorcą. Przyjechali ze mną moi koledzy Andrzej Poch i Robert Woronkiewicz. Mamy tu we Lwowie wspaniałych przyjaciół, ludzi, którzy potrafią dystrybuować te dary. Zatrzymaliśmy się tutaj u siostrzyczek, które wspierają osoby samotne, chorych oraz dzieci.

Andrzej Steckiwi to człowiek-orkiestra - otrzymuje od nas te dary i wie, gdzie i komu je wysłać. A my zbieramy dary w Polsce i przywozimy do Lwowa. Głównie z Wrocławia. W Zgorzelcu Dorota Tyniec bierze nie tylko od Polaków, też w Görlitz po stronie

niemieckiej. Kiedyś to było jedno miasto. Niemcy też pomagają. To jest potrzeba serca. To co przywozimy jest potrzebne ludziom, którzy cierpią i trzeba im pomóc. Tym razem przywieźliśmy, jak to się mówi, od Sasa do Lasa. Dla dzieci paczki świąteczne i zabawki, i ubrania. Są też ubrania ciepłe dla żołnierzy na front. Głównie chodzi o czapki, rękawice, kominiarki, ciepłą bieliznę. I oczywiście skarpety, bo to jest jakby podstawa. Chłopcy tam w okopach marzną. Do tego jeszcze konserwy. No i artykuły medyczne, nici chirurgiczne – wewnętrzne, zewnętrzne do różnych operacji i opatrunki.

Pod koniec grudnia syn napisał: „List z podziękowaniami dla wolontariuszy z miasta Zgorzelec, województwo dolnośląskie.

Pozdrowienia znanym z brzegów Dniepru w obwodzie chersońskim! Od moskiewskich najeźdźców oddziela nas tylko główna rzeka Ukrainy. Prawie 900 kilometrów dzieli mnie od rodzinnego Lwowa, mojej rodziny i bliskich. Tak daleko od rodzinnego domu wielu



z nas musiało świętować Boże Narodzenie, nie w gronie rodzinnym przy stole, ale w gronie towarzyszy broni. Nie odstrasza nas gwizdy pocisków i eksplozje, które słychać zamiast koled. A pomocnicy św. Mikołaja pomagają nam pokonywać chłód Wielkiego Stepu. Tak, mówię to o Was i Waszych niesamowitych paczkach! Czapki, rękawiczki i odzież termiczna są bardzo odpowiednie. W spokojnym życiu jeden lub dwa komplety ciepłych ubrań wystarczą na jedną zimę. Mamy tutaj inne warunki. Czasem nie ma okazji wyprać ubrań, czasem trzeba założyć dwie czapki pod hełmem, żeby nie zmarznąć, a często rzeczy po prostu mogą się zgubić, spalić, zniszczyć. Obecnie jestem w jednostce medycyny bojowej. Naszym zadaniem jest ewakuacja rannych z linii frontu. Doskonale zdajemy sobie sprawę z potrzeb wielu jednostek, dlatego część Waszych ciepłych rzeczy przekazaliśmy jeszcze trzem jednostkom piechoty i jednej jednostce saperów.

Przekazaliśmy im część Waszego ciepła. Osobne podziękowania za termosy! Małe i mocne. Teraz w pojazdach ewakuacyjnych mamy gorącą kawę i herbatę. Taki termos zmieści się w dużych kieszeniach spodni wojskowych. Przystosowałem ładownicę na pasie taktycznym pod termos! Również dziękujemy za konserwy, takie jak przekazywałem latem. Wtedy rozciągaliśmy je przez prawie miesiąc (jedliśmy je jako przysmak). Teraz też przyjemnie urozmaica racje żywnościowe naszym żołnierzom (Dniepr jest niedaleko, ale łowienie ryb nie przynosi skutku, a nawet tuńczyki tu nie pływają, tylko Moskale na łódkach). I pomimo owsiankowo-makarono-mięsnego stylu jedzenia, wszyscy mamy ochotę na coś słodkiego, o co również zadbał! Dziękuję bardzo za pomoc, tak aktualną, szczerą i potrzebną!

Aleksander Czawaga, sanitariusz plutonu medycznego 150. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej Sił Zbrojnych Ukrainy”.

Zaświeć Gwiazdka dla Polaków na Kresach

W przededniu Świąt Bożego Narodzenia paczki z żywnością oraz pomocą materialną ze Śląska i innych miejscowości trafiły do Polaków mieszkających w odwodzie lwowskim. Ponad 30 lat temu Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Bytomiu i Światowy Kongres Kresowian zainicjowali zbiórki pomocowe dla rodaków zza wschodniej granicy. Inicjatorką akcji była dziennikarka Danuta Skalska prowadząca program „Lwowska Fala” w Radiu Katowice, rzecznik Światowego Kongresu Kresowian, prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa w Bytomiu.

ANNA GORDIJEWSKA

– Od Lwowa się wszystko zaczęło! Jak by mogło być inaczej? Za tym Lwowem



też jesteśmy, za Polakami we Lwowie tęsknimy przez okrągły rok i gdyby nie wojna, byłibyśmy parę razy w ciągu roku, a tak się składa, że tylko raz. Przed świętami Bożego Narodzenia jesteśmy w stanie doprowadzić do wielkiej mobilizacji ludzi dobrej woli, nie tylko tych pochodzących z Kresów – opowiada Pani Danuta. – To była kwesta w Dniu Wszystkich Świętych przez dwa dni, to były zbiórki prowadzone na portalu internetowym, to były również dary przynoszone przez dzieci z przedszkola, przez dzieci szkolne. To była naprawdę piękna wielka akcja. Bo

ludzie chcą być razem w te święta i dać poczucie rodakom na wschodzie, że nie są sami, że nie są osamotnieni – dodaje. – Przyjechaliśmy ze wspaniałą ekipą. Henio Polaczek, nasz Ślązak kresowy gra kolędy, wiceprezydent Częstochowy dr Ryszard Stefaniak, który uruchomił wielki łańcuch pomocy, pan Mielczarek, dyrektor szkoły na Śląsku, Paweł Zdziarski – Stowarzyszenie „Wspólnota i Pamięć” z Warszawy. To są ludzie, którzy dokładają ręk, serca żeby taka akcja się udała. Nasz Wiesław Nowakowski, moje dwie kobiety – Ślązaczka, moja wiceprezes



DANUTA SKALSKA

Wanda Galwas-Prasałek, kiedy nie było wojny, potrafiła osiem razy w ciągu roku jechać do Lwowa. Coś jest w tym Lwowie szczególnego. I to nie tylko Lwów. Po drodze odwiedzamy mniejsze miejscowości. Byliśmy już w Mościskach, Strzelczykach, jutro jedziemy do Sambora, Szymanowic, odwiedzimy Wojutyce, Biskowice, Nadyby. W ciągu trzech dni chcemy dotrzeć też tam, gdzie na nas czekają. Ale pomoc dotrze zicherowo – mówię to wam

pod chajrem, słowo honoru, uczciwości serdecznej lwowskiej – podsumowała.

– Przyjeżdżamy tutaj do rodaków, ale przyjeżdżamy również by wesprzeć obywateli Ukrainy, w tym by czuli potrzebę wytrwałości, bo o niepodległość trzeba walczyć. Niepodległość czasami kosztuje tak jak dzisiaj – mogliśmy obserwować ofiary odprowadzane na cmentarz. Życzymy przede wszystkim spokoju Ukrainie i każdej rodzinie i by zapanował pokój. Pokój sprawiedliwy, pokój dobry, pokój, który pozwoli Ukrainie się rozwijać. Warto tutaj przyjeżdżać, warto być, warto pomagać, być dobrym człowiekiem – mówił Ryszard Stefaniak, zastępca prezydenta miasta Częstochowy.

Spotkanie z lwowskimi seniorami we Lwowie przebiegło w miłej atmosferze, wśród rozmów i wspólnego śpiewania. Takie wspólne kolędowanie jest bardzo potrzebne tym, którzy nie wyjechali ze Lwowa, również podczas wojny oraz dla ludzi o otwartych sercach, którzy odczuwają satysfakcję, że mogą wesprzeć rodaków w tak trudnym dla Ukrainy czasie.

Paczki świąteczne dla podopiecznych Domu Dziecka z ukraińskiego Użhorodu

W imieniu Pierwszej Damy paczki świąteczne dla podopiecznych Domu Dziecka w Użhorodzie przekazał gen. bryg. rez. Mirosław Wiklik, zastępca szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Przekazując upominki, w imieniu Małżonki Prezydenta RP, zastępca szefa BBN złożył życzenia z okazji zbliżających się Świąt

Bożego Narodzenia. Wychowawcom i podopiecznym Domu Dziecka życzył nadziei, zdrowia i poczucia bezpieczeństwa oraz by jak najszybciej nastąpił upragniony przez wszystkich pokój.

W marcu 2022 r. Małżonka Prezydenta RP Agata Kornhauser-Duda po raz pierwszy

spotkała się z grupą sierot i półsierot – podopiecznymi Domu Dziecka w Pioniersku (w okolicy Mariupola) – których rosyjski ostrzał artyleryjski zmusił do ewakuacji z dotychczasowego miejsca zamieszkania. Schronienia udzielił im Ośrodek Rehabilitacyjno-Adaptacyjny Caritas Diecezji Sandomierskiej w Bojanowie (powiat stalowowlski). W momencie ewakuacji najmłodszy mieli

zaledwie po kilka lat, najstarsi nie ukończyli jeszcze siedemnastego roku życia.

Po kilkumiesięcznym pobycie w Polsce dzieci wraz z opiekunami wróciły do Ukrainy. Dzięki wsparciu Ośrodka Caritas w Użhorodzie Dom Dziecka mógł na nowo otoczyć opieką ponad sześćdziesięcioro dzieci. W maju br., za pośrednictwem wolontariuszy Fundacji „Studio Wschód”

Pierwsza Dama przekazała pomoc rzeczową, która trafiła do najbardziej potrzebujących dzieci pochodzących z Mariupola.

W sierpniu br. dzieci przebywały w Rezydencji Prezydenta RP – Zamek w Wiśle, gdzie mogły odpocząć i znaleźć wytchnienie od wojennej rzeczywistości.

MAŁŻONKA PREZYDENTA RP

50 lat na scenie. Jubileusz Jadwigi Pechaty i Ireny Słobodiana

W połowie grudnia Polski Teatr Ludowy we Lwowie na scenie Małej Akademii Nauk przy ul. Kopernika 42 (dawnym Domu Nauczyciela) zaprezentował premierę sztuki Sławomira Mrożka „Wdowy”. Jest to dramat, opowiadający historię dwóch kobiet, które po śmierci swoich mężów przypadkiem spotykają się w kawiarni. Miłość, zdrada i śmierć w tekście Mrożka tworzą mieszankę, wymagającą od widza wyobraźni i poczucia humoru. Główne role kobiece zagrały znakomite aktorki – Jadwiga Pechaty i Irena Słobodiana, w rolę kelnera wcielił się Wiktor Lafarowicz, pierwszego i drugiego panów zagrali – Paweł Kuński oraz Bronisław Zajdel, trzecią wdowę gościnnie zagrała – Grażyna Basarabowicz.

TEKST I ZDJĘCIA
ANNA GORDIJEWSKA

Premiera komedii była jednocześnie powodem do uczczenia 50-lecia pracy artystycznej dwóch zasłużonych dla Polskiego Teatru Ludowego aktorek – Jadwigi Pechaty i Ireny Słobodiana. Obie panie zagrały wiele wspaniałych ról zarówno klasycznych jak i współczesnych. Aktorki przyczyniły się do tworzenia historii Polskiego Teatru we Lwowie, przekazując swoją pasję do polskiej kultury oraz słowa polskiego młodszemu kolegom.

Jest to piąta pozycja Sławomira Mrożka w repertuarze naszego teatru. W 1968 r. Mroźek po raz pierwszy pojawił się na tej scenie i to było „Na pełnym morzu” oraz „Karol”, później sukcesywnie „Serenada”, „Polowanie na lisa” i również „Na pełnym morzu” w damskiej wersji. A teraz pojawiają się „Wdowy”. To zbieg okoliczności. Dzisiejszy wieczór jest poświęcony jubileuszowi naszych aktorek Jadwigi Pechaty i Ireny Słobodiana, które obchodzą swoje 50-lecie twórczej współpracy z tą sceną. A ja obchodzę 50-lecie współpracy z tymi pięknymi damami. Mogę powiedzieć, że to jest moje z nimi srebrne wesele. Ale o ironio losu! Sztuka nazywa się „Wdowy”. Jednak potraktujmy to tak, że jest to dowcip mroźkowski, że tak się zbiegła ta okoliczność. O czym ta sztuka? Sami państwo wywnioskujecie, czy jest to abstrakcja? Niekoniecznie. Swoisty humor Mrożka. Muszę powiedzieć, że ta szóstka aktorów dołożyła wszelkich starań, żeby tę komedię Państwu przybliżyć



– mówił dyrektor teatru Zbigniew Chrzanowski.

W wypełnionej po brzegi sali widzowie bili brawo na stojąco. Jadwiga Pechaty i Irena Słobodiana zostały obdarowane pięknymi bukietami kwiatów i licznymi podziękowaniami. Po spektaklu przy lampce wina sympatycy teatru gratulowali jubilatkom, dzielili się swoimi wrażeniami, wspominali „dobre czasy”, a aktorki snuli plany na przyszłość. Nie zabrakło też elementów artystycznych. Pan Chrzanowski wręczył specjalnie wyprodukowane dla jubilatek maski „Tragedii” i „Komedii” wykonane przez łańcuckiego artystę Piotra Żurowskiego.

Z okazji premiery „Wdów” zostały zaprezentowane plakaty teatralne z ubiegłych lat, które są dziełami aktorów Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie: Krystyny Grzegockiej, Jarka Sosnowskiego i Heleny Jacyno.

Po premierze udało mi się porozmawiać z Jadwigą Pechaty i Ireną Słobodiana.



JADWIGA PECHATY

Anna Gordijewska: Siedzimy tu na scenie, na której grasz już 50 lat. Stało się. Jesteś po premierze. Powiedz, co teraz odczuwasz?

Jadwiga Pechaty: Trudno zmieścić 50 lat swego życia teatralnego w jednym zdaniu. Trudno w ogóle cokolwiek powiedzieć. Nie powiem, że to jakaś euforia, czy dużo emocji. W tej chwili po spektaklu te emocje już troszeczkę zeszyły. Naturalnie dzisiejsza premiera była nerwowa. Pomimo że premiera, znikło nam światło, wyszło tak jak teraz na co dzień nie jesteśmy pewni co będzie za godzinę, za dwie, jutro czy dzisiaj wieczorem. Ale bardzo fajnie, że wszystko się odbyło. Bardzo jestem szczęśliwa, że ten pierwszy spektakl już zobaczyli widzowie, że była pełna sala, że byli bardzo serdeczni ludzie, że było bardzo serdeczne przyjęcie, że było dużo kwiatów. I z tego powodu człowiek ma satysfakcję, że jednak nie na próżno jest w tym teatrze od pięćdziesięciu lat. Widzom się podoba. Ludzie wychodzą jacyś tacy napelnieni czegoś dobrego, pełni szczęścia i odpoczywają na tym przedstawieniu. Mam nadzieję, że inne przedstawienia, które będą w przyszłości grane przez nas, będą miały taki sam odzew i będą tak samo odbierane. Wiemy dla kogo gramy, że publiczność chce nas widzieć i chce nas słyszeć i że dalej będziemy trwać.

Czy ten wybór „Wdów” Mrożka był trafny?

J. P.: Na samym początku nie wiedziałam jak to będzie. Wydawało mi się, że ta sztuka nie bardzo pasuje do naszego jubileuszu. Poprosiliśmy reżysera by znalazł nam sztukę, w której mogłybyśmy zagrać we dwie razem z Ireną. Ale Pan Chrzanowski zaproponował „Wdowy” i troszkę na początku byłam może bardziej sceptyczna. A potem, jak czytywałam się w ten tekst, zrozumiałam, że sam tytuł jeszcze nic nie znaczy. Mroźek jest Mroźkiem. Zawsze z tego Mrożka można skorzystać w różny sposób. Mroźka lubimy, cenimy bardzo, tylko pomyślałyśmy sobie i Pan Reżyser z tym się zgodził, że ponieważ spektakl jest troszkę jakby pod nas robiony, dobrze by było żebyśmy

zaistniały pod koniec przedstawienia. Mroźek napisał sztukę troszkę inaczej. Sztuka zaczyna się od wdów, a potem przychodzą panowie. Ale żeby było bardziej pasujące do naszej konwencji, którą przedstawiamy, poprosiłyśmy o zamianę tych scen miejscami. Reżyser zgodził się na to, zamienione zostały pierwsza z drugą częścią. Zaczęło się teraz od panów, a potem weszły wdowy. Kontekst też troszeczkę się zmienił. Ta zmiana zagrała i miała swój pewien sens. Podczas prób poczułyśmy wszystkie smaczki tego tekstu mroźkowskiego. Tę jego przewrotność, satyrę, czarny humor i tę ideę, którą on założył w tej sztuce.

A. G.: Od czego się zaczęło 50 lat temu?

J. P.: Pięćdziesiąt lat temu człowiek nawet się nie spodziewał, że będzie to tak długo trwało. Nigdy nie myślałam, że ja w teatrze przetrwam 50 lat. Ale ponieważ nasz teatr jest teatrem, można powiedzieć odświętnym, to



IRENA SŁOBODIANA

jak gdyby było 50 premier. Ale tych premier rzeczywiście było trochę więcej w ciągu tych 50 lat. Człowiek idzie do jakiegoś zespołu czy uczestniczy w jakimś przedsięwzięciu i nigdy nie wie jak długo to potrwa. Ponieważ ten teatr jest teatrem dość rodzinnym, mamy tu różne sytuacje życiowe. Zgraliśmy się już ze sobą i czujemy się jak rodzina i jesteśmy tu jak w domu. Jasna sprawa – jak w każdym domu, bywają kłótnie, bywają spory, ale też bywają święta. Święta nie tylko teatralne, ale też rodzinne, które tak samo obchodzimy w naszym wspólnym towarzystwie. Dlatego czujemy się tu jak brat, siostra, ojciec, matka, syn, córka i inni członkowie rodziny. I tak to jest, że tych lat się nie odczuwa. Wszystko się zaczęło 50 lat temu dla mnie i dla Ireny. Skończyłam szkołę średnią i mój nauczyciel, a reżyser nie tyle nauczyciel co kierownik zespołu teatralnego w szkole zaproponował mi żebym poszła do Teatru Polskiego, który działa w Domu Nauczyciela.

W tej chwili działamy przy innym domu, ale to nie zmienia sytuacji, że jesteśmy tutaj u siebie. Teatr tutaj jest już od ponad 65 lat. Przyszłam od razu po szkole. Mama mi pozwoliła przyjść do teatru jeżeli zdam na studia. Tak się zdarzyło, że zdałam na studia. Byłam wtedy 16-letnią dziewczyną. Nigdy się nie spodziewałam, że to tak długo będzie trwało. Dla mnie to jak jedna chwila, jedno życie, a jednak człowiek przeżył tu prawie trzy pokolenia. Bardzo dużo aktorów się zmieniło podczas tego życia teatralnego. Bardzo dużo przyjaciół odeszło. Bardzo żałuję, że nie wszyscy mogli być dzisiaj tutaj na premierze, ale myślę, że oni nam pomagają tam z nieba.

Irena Słobodiana: Lata tak minęły, że człowiek nie zdążył się oglądnać. Kiedy z koleżanką policzyłyśmy, bo przyszłyśmy w jednym roku, że jest to nasz rok jubileuszowy, nasz Pan Reżyser Chrzanowski zastanowił się jak by to uczcić. To był jego wybór. Może początkowo nie bardzo z tym się zgodziły, myślałam, że to będzie coś wyjątkowo dla nas, że będziemy na scenie tylko my dwie. Ale przeczytałam sztukę i okazało się, że jest bardzo wesoła wbrew nazwie. To wesoła i ciekawa sztuka. Koleżdy z ich interpretacją obśadową bardzo nam pomogli w tym, że było wesoło. Dziękujemy Panu Chrzanowskiemu za ten wybór, że mogłyśmy dzisiaj zaistnieć na scenie jako, powiedzmy, jubilatki. Chociaż absolutnie nie czuję, że mam tyle lat pracy scenicznej, wciąż czuję się młoda, pełna energii i chętna do pracy.

A. G.: Mamy rzeczywiście te same deski, ten parkiet drewniany...

I. S.: Te teatralne deski tej sceny są najbardziej ukochane. Na wielu scenach pracowałyśmy, na wielu scenach gościnnie występowałyśmy, ale na tej scenie czuję się najlepiej. Ona jest malutka, przysłutna, rodzinna, ciepła. Ona pomaga w pracy.

A. G.: Od czego się wszystko zaczęło?

I. S.: Przygoda z tym teatrem zaczęła się na pewno od momentu

kiedy człowiek skończył szkołę i jakby przestał istnieć w dużym środowisku polskim. Sama rodzina nie wystarczała. Na studiach było inne środowisko. Miłość do sztuki, miłość do literatury i chęć słuchania języka polskiego dużo, codziennie sprawiły, że przyszedłem do tego teatru. Kiedy byłam w 10 klasie, Pan Chrzanowski przychodził do szkoły nr 24, obecnie imienia Marii Konopnickiej i rekrutował młodzież klas 9 i 10, zapraszał do teatru. Już jako studentka przyszedłem tutaj i bardzo się cieszę, że moje pierwsze kroki, które postawiłam na tej scenie, jakby się wydłużały i wydłużały. Że nie zrezygnowałam, że całe moje życie świadome, dorosłe nie zmusiło mnie do pożegnania się z teatrem, że słowem polskim, że sztuką polską. W tym teatrze nie ma ludzi przypadkowych. To są ludzie, którzy kochają

sztukę polską, kochają kulturę polską, kochają język polski.

A. G.: A czy pamiętasz w jakim spektaklu zagrałaś po raz pierwszy?

I. S.: Moją pierwszą rolą była Zosia w „Weselu”. Pamiętam ją, bardzo ją lubię i pamiętam, że bardzo się stresowałam, ale, że nie byłam sama, bo była jeszcze Haneczka – to też dziewczyna, która wtedy przyszła, może parę miesięcy przede mną, nieżyjąca już Natalia Stupko. I my dwie dziewczynki w tym „Weselu” jakby zadawałyśmy ton i promieniowały młodością, wiarą w przyszłość, w nasze lepsze życie.

A. G.: Jaka jest Twoja ulubiona rola?

I. S.: Ja kocham wszystkie swoje role, ale może taka najbardziej życiowa rola, która dotknęła mnie, ale już jako

dorostą kobietę, która jak każdy z nas ma swoje przejścia życiowe, lubię Katarzynę z „Czarującego tajdaka”.

A. G.: Dzisiaj była premiera „Wdów”. Czy ten spektakl będzie Ci bliski?

I. S.: Będzie. Na pewno będzie, dlatego, że jest to sztuka bardzo na czasie. Jest bardzo współczesna. Pokazuje nasze społeczeństwo. Mroźek na pewno jest ponadczasowy. Mroźek będzie zawsze aktualny – pokolenia będą czytać Mroźka, pokolenia będą tworzyć przyszłość, ale one zawsze będą takie jak pokazuje Mroźek. W tym spektaklu chcieliśmy pokazać, że zaczynając od niedowierzania, podejrzeń, sarkazmu, wyśmiewania, jednak kończymy taką przyjaźnią, która nas zmusza do tego, żeby ludzie rozumieli się nawzajem, pomagali sobie, byli lepsi.

A. G.: Czym dla Ciebie jest Polski Teatr we Lwowie i zespół teatralny?

I. S.: Polski Teatr Ludowy jest dla mnie kontynuacją i jakby utwaleeniem mojej tożsamości narodowej. To jest miejsce, gdzie człowiek był, jest i pozostanie tym kim się urodził. To jest miejsce, gdzie człowiek ma do czynienia ze sztuką, ma do czynienia z literaturą polską, ma do czynienia z historią i kulturą polską. To jest miejsce, gdzie spotyka się ludzi, którzy myślą tak jak ty, odczuwają tak jak ty, są przyjaźni do bliźniego i do całego świata. To jest miejsce, którym kieruje człowiek, który naprawdę ma wielkie serce, który kocha wszystkich, rozumie wszystkich, jest nadzwyczaj wyrozumiały i chce tę sztukę jak sztandar nieść przez życie i tego nas uczy. Jestem wdzięczna Panu Bogu i losowi za to,

że w moim życiu było wielu prawdziwych nauczycieli i oni wszyscy byli dla mnie wzorem. W swojej pracy w szkole wzoruję się na nich i to co oni mi dali, ja z dumą i satysfakcją niosę przez życie.

A. G.: Dziękuję za rozmowę.

W imieniu redakcji „Nowego Kuriera Galicyjskiego” proszę przyjąć najserdeczniejsze gratulacje z okazji Złotego Jubileuszu pracy artystycznej, wyrazy uznania dla dokonanych w dziedzinie sztuki aktorskiej oraz nieoceniony wkład obu Pań w rozwój kultury polskiej we Lwowie. Życzymy Paniom zdrowia, nieustającej energii twórczej oraz satysfakcji z realizacji nowych zamierzeń.

Ośrodek Promocji Kultury Polskiej we Lwowie

W połowie grudnia zostały zakończone prace remontowe lokalu przy ulicy Wynnyczenki z przeznaczeniem na Ośrodek Promocji Kultury Polskiej we Lwowie. Wiceprezes zarządu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” Juliusz Szymczak-Gałkowski spotkał się w Pałacu Potockich z przedstawicielami polskich organizacji Lwowa, gdzie opowiedział jak przebiegały prace remontowe w lokalu w ciągu ostatnich dwóch lat.

TEKST I ZDJĘCIA
ANNA GORDIJEWSKA

Przedstawiciele polskich organizacji ze Lwowa przedstawiły swoje propozycje funkcjonowania instytucji po jej otwarciu w przyszłym roku.

– To ma być wspólny dom wszystkich Polaków mieszkających we Lwowie, mamy też zapraszać gości – mieszkańców tutejszych, oczywiście Polaków z okolic Lwowa, Polaków z Polski. Niech też zobaczą co tu się dzieje. Chcemy też pokazywać co dzieje się w Polsce. To nie jest tak, że chcemy przyjechać do Lwowa i powiedzieć co Państwo macie robić, lecz na odwrót – to spotkanie jest po to, żebyśmy usłyszeli co trzeba, żebyśmy dobrze mogli to przygotować, dobrze zrobić. To będzie długo trwało, gdyż

budowa i urządzenie takiego ośrodka trwa wiele lat – powiedział wiceprezes Juliusz Szymczak-Gałkowski.

– Czas najwyższy, żeby te organizacje, które jeszcze nie mają swojej siedziby, tam właśnie mogły mieć swoje miejsce. – Ten dom nas połączy, na pewno. Nie mamy o co się kłócić, nie mamy co dzielić. Jesteśmy tutaj po to, żeby promować polską kulturę – powiedział Edward Sosulski, kierownik kapeli „Lwowska Fala”. Ten dom na pewno musi funkcjonować niezależnie od braku prądu. Myślę, że projektanci zaplanowali jakiś generator. Musi tu powstać biuro, które będzie prowadzić ten dom. Musi być człowiek, który będzie zarządzał gospodarką, żeby dom funkcjonował, żeby było opłacone światło, woda, gaz, żeby były ogarnięte sprawy techniczne. A przede wszystkim



powinni być ludzie, którzy będą promować polską kulturę poprzez radio, media, poprzez taniec, śpiew, bibliotekę i różne inne możliwości – dodał.

Po spotkaniu w wykonaniu znakomitych artystów Klaudiusza Barana, Mariany Humetskiej i Mykoły Haviuka zabrzmiały słynne „Polskie Tanga”.



– Jestem ogromnie usatysfakcjonowana, że po raz kolejny mamy okazję i przyjemność organizować wydarzenie kulturalne we Lwowie. Bo przecież niedawno był festiwal – kilkudniowe wydarzenie. A dzisiaj też piękne wydarzenie promujące polską kulturę we Lwowie. Inspiracją dla tego wydarzenia jest nowo powstający Ośrodek Promocji Kultury Polskiej. Nie jest jeszcze oddany do użytku, ale zakończył się pewien bardzo ważny etap, czyli zostały zakończone prace budowlane. I poprzez dzisiejszy dzień, który obfituje w wydarzenia kulturalne, chcieliśmy pokazać jakie perspektywy daje nam pozyskanie tego nowego miejsca – podkreślił Adam Bala, prezes Polsko-Ukraińskiej Fundacji imienia Ignacego Jana Paderewskiego.

Wydarzenie poprzedził przedświąteczny koncert w filharmonii Lwowskiej, z okazji zakończenia prac remontowych w gmachu przy ulicy Wynnyczenki, z udziałem solistów Opery Lwowskiej w wykonaniu których zabrzmiały najpiękniejsze fragmenty ze znanych oper. Witając zebranych, wiceprezes zarządu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” Juliusz Szymczak-Gałkowski podziękował polskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych za sfinansowanie koncertu. Wyraził wdzięczność władzom miasta Lwowa i obwodu lwowskiego za życzliwość i pomoc w trakcie prac, a metropolie lwowskiej abp. Mieczysławowi Mokrzyckiemu za udostępnienie budynku.

Spotkanie Wigilijne dla lwowskich seniorów

– Nie ustajemy aby nieść pomoc i wsparcie dla naszych rodaków z Kresów – stwierdziła w wywiadzie dla „Nowego Kuriera Galicyjskiego” Iwona Romaniak, prezes Fundacji Bratnia Dusza z Polski.

KONSTANTY CZAWAGA

Przed Bożym Narodzeniem wolontariusze Fundacji przyjechali do Lwowa z kolejnymi darami.

– „Seniorzy w tradycji – Polonijna Wigilia na Kresach” to projekt skierowany do naszych Rodaków seniorów z Katolickiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku we Lwowie – wyjaśniła Iwona Romaniak. – Celem projektu jest umocnienie tożsamości polskiej seniorów ze Lwowa i obwodu lwowskiego oraz

zacieśnienie ich więzi z Polską poprzez organizację uroczystej, polskiej wieczerzy wigilijnej, która dzięki atmosferze wigilijnego rytuału, z muzyką, koledami i tradycyjnymi potrawami, nie tylko dostarczy uczestnikom radości

i poczucia przynależności do polskiej tradycji, ale także umożliwi wsparcie duchowe, emocjonalne oraz materialne. W ramach projektu zorganizowano uroczystą wigilię, w której uczestniczyło 80 osób, w tym 70 seniorów,



KONSUL RP WE LWOWIE JOLANTA RABIAK (OD LEWEJ), WICEPREZES KATOLICKIEGO UTW JERZY RALKO, PREZES FUNDACJI BRATNIA DUSZA IWONA ROMANIAK

podopiecznych Katolickiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku we Lwowie oraz zaproszeni goście – duchowienstwo, przedstawiciele organizacji polskich oraz mediów polskich, a także wolontariusze przybyli z Polski.

Uroczystość poprowadził Marian Frużyński, prezes Katolickiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, współorganizator wydarzenia. Zgromadzonych na sali pobłogosławił arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski. Życzenia świąteczne złożyła również Jolanta Rabiak, konsul RP we Lwowie.

Oprócz udziału w tradycyjnej polskiej wigilii, seniorzy otrzymali wsparcie rzeczowe w postaci świątecznych paczek żywnościowych. Fundacji Bratnia Dusza towarzyszyła w tym wydarzeniu grupa wolontariuszy z gminy Piwniczna Zdrój reprezentowana przez Magdalenę Stelmach, która przekazała dla każdego uczestnika ręcznie zrobioną kartkę świąteczną wykonaną przez dzieci z

Szkoły nr 1 w Piwnicznej. Stół ozdobił również kolorowy talerzyk pięt lukrowanych pierniczek wykonanych ręcznie przez dzieci z malutkiej szkoły w Andrzejóвке.

Projekt został sfinansowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej w konkursie „Polonia i Polacy za granicą 2024 – wydarzenia i inicjatywy Polonijne”.

Iwona Romaniak i Dariusz Cieśla z Fundacji Bratnia Dusza przekazali też sporo różnych prezentów dla dzieci z polskimi korzeniami oraz ich rodzeństwu z parafii św. Antoniego we Lwowie oraz parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Winnikach.

– Dziękujemy z całego serca wszystkim szkołom z Sądecczyzny, które dołączyły do akcji „Podziel się swoim prezentem mikołajkowym z przyjacielem z Ukrainy” – powiedziała Iwona Romaniak. – Dobroć dziecięcych serduszek nie zna granic.

105. Spotkanie Ossolińskie we Lwowie

W grudniu 2024 roku w głównej i największej sali Lwowskiej Narodowej Naukowej Biblioteki Ukrainy im. Wasyla Stefanyka (LNNB im. W. Stefanyka) odbyło się kolejne i ostatnie w 2024 roku 105. Spotkanie Ossolińskie. Tradycyjnie zostało zorganizowane wspólnym wysiłkiem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich (ZN im. Ossolińskich) we Wrocławiu i LNNB im. W. Stefanyka we Lwowie, pod patronatem konsula generalnego Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.

TEKST I ZDJĘCIA
JURIJ SMIRNOW

Z powodu trwającej wojny i agresji Rosji w 2024 roku Spotkania Ossolińskie zmieniły swój harmonogram – obecnie odbywają się raz na kwartał. Otóż w bieżącym roku było to czwarte spotkanie. Wojna dyktuje też tematykę Spotkań i zainteresowania tak organizatorów, jak i obecnych na spotkaniu. Trzeba powiedzieć, że Spotkania mają już od lat swoich przyjaciół i zainteresowane osoby, przedstawicieli lwowskich środowisk kulturalnych, muzealników, profesorów lwowskich uniwersytetów, członków polskich organizacji społecznych działających we Lwowie. W 2024 roku wszystkie Spotkania Ossolińskie zostały transmitowane też on-line i można je oglądać na stronach ZN im. Ossolińskich i LNNB im. W. Stefanyka.

Spotkania Ossolińskie od pierwszego w 2007 roku i po dzień dzisiejszy są bardzo znaczącym wydarzeniem w relacjach kulturalnych polsko-ukraińskich i tylko jednym z licznych przejawów ścisłych kontaktów naukowych i organizacyjnych ZN im. Ossolińskich i LNNB im. W. Stefanyka. Właśnie o to chodziło organizatorom tych Spotkań w dalekim 2007 roku, generalnemu dyrektorowi LNNB im. W. Stefanyka prof. Łarysie Kruszelnickiej i dyrektorowi ZN im. Ossolińskich dr. Adolfovi Juzwence oraz Janowi Malickiemu, dyrektorowi Studiów Wschodnich Uniwersytetu Warszawskiego.

105. Spotkanie Ossolińskie prowadziły wspólnie zastępca dyrektora generalnego LNNB im. W. Stefanyka prof. Lidia Snicarczuk oraz dr Wiktoria Malicka, pełnomocnik ZN im. Ossolińskich ds. współpracy z zagranicą. Wśród obecnych na sali byli konsul RP we Lwowie i liczni pracownicy Konsulatu Generalnego RP. Wiktoria Malicka przedstawiła obecnym temat Spotkania i prelegentów. Jak wspominałem wyżej, wojna



WIKTORIA MALICKA I LAURYNAS VAIČIŪNAS

dyktuje też tematy spotkań, otóż na 105. Spotkaniu odbyła się gorąca dyskusja na temat „Europa Środkowo-Wschodnia w świetle wojny” (oczywiście rosyjsko-ukraińskiej). Do udziału w dyskusji zaproszono Mykołę Riabczuka, publicystę, pracownika naukowego Instytutu Badań Politycznych i Narodowościowych Narodowej Akademii Nauk Ukrainy i Laurynasa Vaičiūnas, politologa, managera kultury, prezesa Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu. Wiktoria Malicka zapoznała obecnych z krótkim życiorysem obu prelegentów. Mykoła Riabczuk jest pracownikiem naukowym Instytutu Badań Politycznych i Narodowościowych Narodowej Akademii Nauk Ukrainy oraz obecnie – współpracownikiem Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Jest autorem licznych publikacji naukowych, w tym przetłumaczonych w Polsce, takich jak „Od Małorosi do Ukrainy” (2002 r.), „Dwie Ukrainy” (2004 r.), „Ogród Metternicha” (2011 r.), „Ukraina. Syndrom postkolonialny” (2015 r.), „Poprzednie życie” (2017 r.). Najnowszym jego dziełem jest wydana w 2022 roku monografia „Czternasta od końca. Powieści o współczesnej Ukrainie”. Właśnie ta monografia została odznaczona najwyższą ukraińską nagrodą literacką im. Tarasa Szewczenki. Mykoła Riabczuk jest też laureatem Nagrody Specjalnej im. Jerzego Giedroycia oraz medalem „Bene meriti” ministra Spraw Zagranicznych

Rzeczypospolitej Polskiej (2009 r.), za działania na rzecz dobrych stosunków polsko-ukraińskich. W latach 2014–2018 był przewodniczącym ukraińskiego PEN-Clubu, obecnie ma tytuł prezesa honorowego.

Laurynas Vaičiūnas to litewski politolog i analityk spraw międzynarodowych, manager kultury, wydawca. Absolwent Uniwersytetu w Bath i University Colleg London. Od 2020 roku kieruje organizacją pozarządową Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, ważnego ośrodka literackiego i dialogu międzykulturowego. Jest wydawcą czasopisma „Nowa Europa Wschodnia” i „New Eastern Europe”, które od lat na całym świecie prezentują opinie i analizy z perspektywy Europy Środkowo-Wschodniej. Kierowane przez niego wydawnictwo jest jednym z najbardziej zaangażowanych promotorów literatury ukraińskiej w Polsce. Jego nakładem ukazały się książki, między innymi Waleriana Pidmohylnego, Tarasa Dudy, Juria Wynnyczuka, Mykoły Riabczuka, Oksany Zabuzko. Jest też współpracownikiem Litewskiego Radia i Telewizji (LRT) w Polsce.

Na początku dyskusji Mykoła Riabczuk między innymi powiedział:

– Europa Środkowo-Wschodnia w ostatnich latach jest bardzo zauważalna w polityce międzynarodowej, zwłaszcza z powodu wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej. Trzeba dać odpowiedź co się kryje za tym nazewnictwem. Czy tylko teren geograficzny, czy



MYKOŁA RIABCZUK

też zjawiska polityczne. Właśnie problem polega na manipulowaniu tym terminem, między innymi ze strony historyków rosyjskich i tych w Europie Zachodniej, którzy popierają Rosję. Otóż dla nich Europa Środkowo-Wschodnia nie jest cywilizowanym Zachodem, lecz strefą postkolonialną rosyjskiego imperializmu. Jednak w świetle wydarzeń ostatnich lat w Ukrainie, zwłaszcza wojny rosyjsko-ukraińskiej, ten termin zaczął funkcjonować w innym znaczeniu, teraz jako ekskluzywny, jako koncepcja wyzwolenia krajów tego regionu spod dominacji sowieckiej, a obecnie rosyjskiej. Przez wiele lat Europa Zachodnia nie widziała Ukrainy, byliśmy dla nich marginesem. Nie zauważano Ukrainy jako kraju europejskiego. Podział ten był całkiem sztuczny, ale był i dla niektórych jest nadal aktualny.

Ze swojej strony Laurynas Vaičiūnas podtrzymał Mykołę Riabczuka i zauważył, że rusyfikacja została w społeczeństwach postsowieckich bardzo głębokie korzenie: – Ostatnią ostoją, która nas trzyma bliżej Europy, bliżej Polski, jest kultura, historia, sztuka, również przyroda, krajobraz, urbanistyka, która nas otacza i łączy. Wojna, rozwiązana przez Rosję niszczy również te więzi, niszczy kulturę polityczną i wartości demokratyczne. Włączenie Ukrainy do Europy Środkowo-Wschodniej jest jej ucieczką od imperialistycznej Rosji. Na Zachodzie mówią o kryzysie ukraińskim, lecz właśnie dlatego Ukraina nabiera podmiotowości. Kraje, które podtrzymują Ukrainę, dobrze rozumiały, że jest to obecnie niepodległy kraj, a nie rosyjska kolonia. Ukraina uzyskała też nowych partnerów. Jesteśmy silni, kiedy jesteśmy dobrze zintegrowani w strukturach Zachodu, NATO, Unii Europejskiej. Litwa jest znacznie bardziej zintegrowana niż Ukraina, ale Ukraina też jest na tej drodze. Potrzebna jest integracja z Europą nie tylko polityczna, ale też kulturalna, mentalna. W Europie wydają i czytają ukraińskich autorów, piszą recenzje o ukraińskim teatrze, organizują wystawę współczesnej ukraińskiej awangardy. Jest to znaczny progres. Ukraina tworzy tu i teraz strukturę nowej ukraińskiej kultury, kultury bez wpływu Rosji. To wielki sukces, porównywalny do sukcesów politycznych, czy dyplomatycznych. Ukraina jest

w pewnym sensie lokomotywą całego regionu postsowieckiego. Obecne wydarzenia w Ukrainie grają swoją rolę w sytuacji na Litwie i w innych krajach bałtyckich. To już są zmiany strukturalne całego regionu.

Mykoła Riabczuk omówił też problem obecności kultury rosyjskiej (oczywiście i języka rosyjskiego) w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. Jest to bardzo problem bolesny. Pozbycie się tego problemu w jednym momencie, pozbycie się mentalności postkolonialnej, jest po prostu niemożliwe, ale trzeba zrobić wszystko co się da, żeby ten proces nabrał rozpędu. Dlatego trzeba nie zważając na wojnę inwestować w ukraińską kulturę, literaturę, film. A poza tym wychowywać w ludziach postawę obywatelską. Mamy swoją wspaniałą kulturę – mamy co propagować i o co walczyć.

Przez wieki język rosyjski pełnił rolę wspólnego dla całego regionu i była to polityka kolonizatorów rosyjskich. Kultura w Związku Radzieckim była głęboko upaństwowiona, to samo mamy we współczesnej Rosji. Czy można język rosyjski oddzielić od polityki rosyjskiej? Obecnie – zdecydowanie nie. Społeczeństwo ukraińskie jeszcze nie pozbyło się postkomunistycznej mentalności, dlatego dla nas pytanie języka jest bardzo aktualne i jeszcze przez dłuższy czas takim będzie. Młodzi w Ukrainie i całym regionie kardynalnie zmieniają orientację na język angielski. Ale to są procesy na długie lata. Problem językowy jest problemem moralnym, a nie tylko językowym.

Dyskusja po zakończeniu wykładów prelegentów była bardzo ożywiona. Padło wiele ważnych i ciekawych pytań. Między innymi jako jedno z pierwszych – o naszych sąsiadach, mianowicie o Białorusi i Gruzji. Właśnie, gdzie umieścić owe dwa kraje w strukturach Europy Środkowo-Wschodniej i jakie są dalsze perspektywy dla ich rozwoju na stronę demokracji. Laurynas Vaičiūnas powiedział, że Białoruś na dzień dzisiejszy jest państwem bardzo zrusyfikowanym, bo Rosja przez dłuższy czas zawsze była obok. Wielkie nieszczęście mieć takiego sąsiada. – Ale to nie koniec historii. Już teraz część elit przechodzi na stronę narodu. Więc nic nie jest stracone i każdy kraj może wybrać odpowiednią drogę i kierunek. Białoruś ma ten potencjał, ma początki tradycji demokratycznych i demokratycznego społeczeństwa. Dlatego z całą mocą mamy wspierać język białoruski i demokratyczne tendencje w białoruskim społeczeństwie. Wszystko jest w rękach narodu, a nie dyktatorów.

Na zakończenie 105. Spotkania Ossolińskiego Wiktoria Malicka ogłosiła, że w 2025 roku planowana jest kontynuacja spotkań, na razie raz na trzy miesiące. Czekamy więc na kolejne spotkanie wiosną 2025 roku.



Pożegnanie Rafała Żebrowskiego

Rafała Żebrowskiego żegnaliśmy w szary i dżdżysty dzień 27 grudnia 2024 r. w Warszawie mszą świętą w kościele św. Katarzyny na Służewie, a później na pobliskim, starym cmentarzu, gdzie spoczęły w rodzinnym grobowcu w urnie Jego prochy. W mowie pogrzebowej, którą wygłosiłem w imieniu twórców zrzeszonych w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich, a także członków Instytutu Lwowskiego oraz uczestników Dialogu Dwoch Kultur – poetów, naukowców, muzealników, działaczy kultury, artystów – trudno było w prostych słowach wyrazić ogrom współczucia pograżonej w żalobie żonie Zofii Borzymińskiej, siostrze Beacie Lechnio, całej rodzinie zmarłego, licznie zgromadzonemu gronu przyjaciół i znajomych. Także wyrazić swój żal po stracie Przyjaciela. Przede wszystkim ująć w pełni niezwykłą sylwetkę osobową i duchową Rafała, dzieje jego ziemskiej peregrynacji.

MARIUSZ OLBROMSKI

Urodził się w Gdyni 18 stycznia 1954 roku. Był absolwentem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (1972), polskim historykiem, poetą i eseistą, kustoszem pamięci rodu Herbertów, członkiem Rady Patronackiej Klubu Szkół Herbertowskich. W 1987 r. w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim otrzymał doktorat na podstawie pracy pt. „Obraz kosmosu w kazaniach pierwszego pokolenia jezuitów polskich”. Habilitował się w 2014 na Uniwersytecie w Białymstoku na podstawie dorobku naukowego i rozprawy pt. „Żydowska gmina wyznaniowa w Warszawie 1918–1939. W kręgu polityki”. Przez dekady pracował jako adiunkt w Pracowni Varavianistycznej Żydowskiego Instytutu Historycznego.



HALA CZAJKOWSKA



RAFAŁ ŻEBROWSKI PRZED DOMEM NA UL. ŁYCZAKOWSKIEJ 55 WE LWOWIE

Był autorem książek i licznych artykułów naukowych oraz publicystycznych, m.in.: *Polin. Kultura Żydów polskich w XX w. (Zarys)*, oprac. wspólne z Zofią Borzymińską (1993); *Majęsz Schorr i jego listy do Ludwika Gumpłowicza* (1994); *Dzieje Żydów w Polsce. Kalendarium* (1993); *Dzieje Żydów w Polsce. 1918–1939. Wybór tekstów źródłowych* (1993); *Polski słownik judaistyczny*. *Dzieje. Kultura. Religia. Ludzie*, oprac. wspólne z Zofią Borzymińską (2003); *Żydowska Gmina Wyznaniowa w Warszawie. 1918–1939. W kręgu polityki* (2012). Był zarazem utalentowanym poetą i eseistą, wybitnym kustoszem pamięci rodu Herbertów, autorem monumentalnego dzieła „Herbert. Kamień na którym mnie urodzono”, wydanym przez Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie w 2011 r. Jego Mama Halina Herbert-Żebrowska była siostrą Zbigniewa Herberta. Zbigniew Herbert był zaś chrzestnym Rafała, który niejednokrotnie przesiadywał na kolanach wuja i stał się jego przysłówiowym

„oczkiem w głowie” jeśli chodzi o zainteresowania rodzinne. Stąd liczne opowieści i wspomnienia Rafała o autorze „Raportu z obłożonego miasta” były po prostu częścią historii jego rodziny i jego własnego losu. Nic przeto dziwnego iż szczególnie interesował się też i znał świetnie historię Lwowa, dzieje kultury tego miasta, rodzin, ulic, placów. Postulował się w jakimś stopniu gwarą lwowską, czyli bałakiem. Odziedziczył swoiste poczucie humoru rodem z miasta pod Kopcem Unii Lubelskiej.

Z Rafałem zetknęliśmy się w latach 70. na korytarzach i w salach wykładowych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie w czasach PRL-u studiowała co bardziej myśląca młodzież z rodzin katolickich, często mających problemy z ówczesną władzą. Uczestniczyliśmy w świetnych wykładach w auli, choć Rafał studiował historię, ja filologię klasyczną, ale niektóre wykłady były wspólne dla humanistów. Tłoczyliśmy się w kolejce w stołówce studenckiej w której podawano skromne posiłki.

Blżej jednak poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy dopiero we Lwowie w czasie Dni Zbigniewa Herberta w 2002 roku, podczas których jego mama Halina Herbert-Żebrowska i on byli honorowymi uczestnikami tych ważnych dla pamięci o Zbigniewie Herbercie wydarzeń. Jakiś czas później wędrowaliśmy w trójkę po ulicach Lwowa śladami rodu Herbertów. (Pisałem o tym

ostatnio w „Nowym Kurjerze Galicyjskim” i w paryskim „rec-cogito” w artykule „Powrót Zbigniewa Herberta do Lwowa”).

Rafał uczestniczył też w kolejnych edycjach Dialogu Dwoch Kultur, spotkaniach intelektualistów trwających często tygodni, a czasem nawet i dłużej. Między innymi w 14., we wrześniu 2017 roku, kiedy to byliśmy jak zawsze w Krzemieńcu w Muzeum Juliusza Słowackiego, ale też w Drohobyczu oraz w malutkim Żurawnie, gdzie w 1505 roku urodził się „ojciec literatury polskiej” Mikołaj Rey i gdzie umyśliłem sobie onegdaj założyć Muzeum autora „Żywość człowieka pocziwego”. Okazał się podczas tych wypraw uroczym towarzyszem, niezrównanym gawędziarzem. Zrodziły się z tych wyjazdów nie tylko nowe znajomości i przyjaźnie, ale też refleksje: szkice i teksty świadczące zarówno o rozległej wiedzy dotyczącej dziejów tych terenów jak i o jego bystrym zmyśle obserwacji. Uświetnił swym wykładem też dwudniową Herbertiadę, sesję popularno-naukową ubogaconą też pięknym recitalem Dominiki Świątek i jej oryginalnymi kompozycjami do 17 wierszy Zbigniewa Herberta oraz wystawą świetnych rzeźb z brązu Moniki Osieckiej zafascynowanej kulturą Włoch. Całość została zorganizowana w Muzeum Anny i Jarosława Iwaskiewiczów w Stawisku w dniach 5–6 listopada 2016 r., gdy kierowałem pracami tej instytucji. Jesienią 2018 roku czyli w Roku Zbigniewa Herberta znowu podczas Dialogu Dwoch Kultur odbyła się konferencja naukowa we Lwowie w Bibliotece im. W. Stefanyka – w czytelni głównej dawnego Ossolineum. Wśród wielu znakomitych prelegentów znalazł się przede wszystkim Rafał Żebrowski, którego barwna wypowiedź miała oczywiście szczególnie ważne znaczenie. Młodzież z polskich szkół pięknie recytowała wiersze Herberta. Trafiliśmy wówczas też pod kamieniec na ulicy Łyczakowskiej 55, gdzie przez wiele lat mieszkała rodzina Herbertów i do kościoła św. Antoniego, aby po mszy św. za duszę Wielkiego Lwówianina złożyć przy chrzcielnicy i pamiątkowej tablicy biało-czerwone kwiaty.

Ostatni raz prezentowaliśmy razem wiersze dwa lata temu również podczas Dialogu Dwoch Kultur. Staliśmy obok siebie w jesiennym chłodnym wieczorze na Placu Zamkowym pod Kolumną Zygmunta razem z innymi polskimi i ukraińskimi poetami i czytaliśmy utwory będące protestem przeciw barbarzyńcy i zbrodniom putinowców w Ukrainie. Przez wiele lat „bałakaliśmy” ze sobą telefonicznie, pisywaliśmy do siebie liczne listy przez internet. Teksty Rafała były perełkami inteligencji, subtelności humoru, herbertowskiej z ducha ironii.

Jako poeta debiutował w czasopiśmie „Student”, w archiwum domowym zostały zachowane jego wczesne utwory (np. w korespondencji Herbert – Miłosz). Publikował utwory poetyckie w almanachu polsko-ukraińskim „Czas pojąć ten świat – czas ukończyć ból” (2024), który powstał we współpracy z „Recogito”. Przez wiele lat drukował w „Roczniku Lwowskim”, w „Dialogu Dwoch Kultur”, a także ogłaszał teksty na paryskim portalu palotynów. Jego szkice historyczne i eseje podróżne m.in. o kulturze Hiszpanii ukazywały się w „Gazecie Obywatelskiej” (2016–2019).

W ostatnim okresie zmagał się z chorobą rakową, jego listy do mnie stały się coraz krótsze, zmienił się ich ton, nie odbierał telefonów. Zmarł w Warszawie, w domu, przy żonie, 14 grudnia w godzinach wieczornych. Tuż przed śmiercią szczęśliwie dotarł do jego rąk tom poezji „Póki myśl krąży”, wydany przez Galerię Autorską w Bydgoszczy prowadzoną przez Jana Kaja i Jacka Solińskiego, którzy świadomi sytuacji przyspieszyli druk tej publikacji o dwa tygodnie. Treść książki krótko charakteryzuje notka na skrzydełku opatrzonej moim nazwiskiem: „Wiersze z tomiku Póki myśl krąży przekazują gest pożegnania wyrażony w ascetycznym i godnościowym tonie. Autor unika patetyzmu, a ludzkie odchodzenie ukazuje w „liczbie pojedynczej”. Pytający o sens życia bohater liryczny odnajduje swój wizerunek w wymiarze uniwersalnym. Poetę interesuje doświadczenie i tocząca się od wieków dysputa o relacjach społecznych. Wyróżnia się tu dwa wątki – doznawanie przemijania i los człowieka wplątanego w historię; utwory kierują uwagę czytelnika na „sprawę smaku” Zbigniewa Herberta i nieuchronną „niechcianą lekcję stylu” spisaną w książce Rafała Żebrowskiego. Wiersze ujawniają oryginalną dykcję z nutą autoironii i humoru, talent przekazywany w genach – w czasie, gdy miało 100-lecie urodzin Wielkiego Lwówianina”. Dodać trzeba, że książka ta zawiera również wiersze będące pokłosiem wspomnianych podróży do Lwowa, Krzemieńca i na Wołyń. Swoistym aneksem do niej są wiersze moje i Teresy Tomsiej dedykowane Autorowi.

Czy istnieje ukryty w genach talent, przekazywany często z pokolenia na pokolenie? To pytanie retoryczne, bo historia literatury wielokrotnie ten fakt przecież potwierdziła. Zapewne jest tak i z Rafałem Żebrowskim, a tom jego poezji „Póki myśl krąży” w pełni to potwierdza. Warto sięgnąć po te wiersze – zebrane z rękopisów i wielu publikacji przez poetkę Teresę Tomsiej we współpracy z żoną Rafała – aby się o tym w pełni przekonać, pogłębić swe widzenie świata, zrozumienie ludzkiej kondycji.



ZOFIA BORZYMIŃSKA, ŻONA RAFAŁA ŻEBROWSKIEGO, (PIERWSZA OD LEWEJ), ANDRZEJ GOLBERG (WYBITNY DZIAŁACZ DAWNEJ OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ), MARIUSZ OLBROMSKI

HALA CZAJKOWSKA

Synagoga w Brodach

Okna – oczodoły – zwierciadła duszy
za nimi kantor rzezał kunsztowny nigun*
kolumnę napowietrznego ołtarza Słowa
a dziś panoszy się tu zielsko zwycięskie
zwalone sklepienie – modlitwa o potop
co oczyści ziemię wbrew Bożej obietnicy
gdzie byłeś – o Panie na rzeź prowadzonych –
obdarzasz wybraniem
by przyjąc całopalenie ludu
wodnistooka niepamięć przegląda się
w trwaniu krzepkiego ciała ruiny

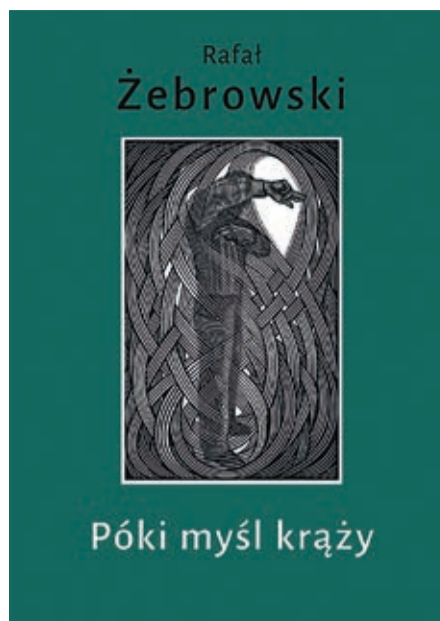
Nie myślałem że kiedykolwiek tu dotrę
wszak świątynia ta jest upiorem
skątał pośród nowego życia
innym toczącego się łożyskiem
warowna ruina broni dostępu do wnętrza
co było to było a teraz wara
przygodnym wędrowcom
i późnym wnukom
od niewypowiadalnego imienia Zagłady
a jednak przypadkiem odnalazłem
starą ilustrację – jak okno uchylone –
z pozoru brak szczegółów

właściwie tylko przecucie
że nad mroczną salą szumią konary
sklepienia na których wygnani
rozwiesili fragmenty psalmów
jak niegdyś harfy na wierzbach
nad rzekami Babilonu
realny zda się tylko dym kadzidlany
unoszący modlitwy w przestwór

nigun – w chasydzkiej muzyce pieśń bez słów, nucona
melodia o emocjonalnym, natchnionym, poważ-
nym lub radosnym charakterze, która przenika do
najgłębszych uczuć religijnych; melodyjna zaduma,
szczególnie dla talmudystów.

Żydowski cmentarz w Krzemieńcu

Na wzgórzu stromym jak Zagłada
stoi miasteczko zmarłych Żydów
zwartymi szeregami tłoczą się macewy
zieloność skrywa rozpacz
by wędrowiec nie wątpił
w wieczną Mądrość i Dobro
jeśli tu zajdzie przez mur zwalony
tysiące fodyg go pochwyca
by kroki niebaczne tamować



i urok pejzażu szybko prysnie
bo brodzi w śmierci cudzej
a własnej
więc rychło ujdzie stąd zawstydzony
spoglądać będą za nim Żydzi Krzemieńca

którzy zasiedli na przyzbach grobowców
jak w kamiennych łąkach
swej nekropolii
przed nimi wołyńskie wzgórza
dołem ich miasteczko i nowe życie
jednak ich puste oczy wyplakane nad Jeruzalem
widzą tylko otchłań
pod kruchym lodem

Na dzień 27 III 2022 we Lwowie

tam już zawsze stać będzie moja kołyska
bo stamtąd wygnano moją Matkę
jej smutek wziętem i noszę przez obcy świat
tli się w otwartych dłoniach jak żałobny lampion
na świętym kamieniu leży gad dziejów
będzie płodził plugastwo
do końca tego świata nim przyjdzie sąd
pielgrzymując tam zostawiam ślady stóp na bruku
dziś miasto płonie innym życiem
a ci sami wrogowie ciągną na nie z wieścią zagłady
niech się nie spełni
niech będzie wolna moja pusta kołyska

RAFAŁ ŻEBROWSKI

Obłok zadumy

Pani Halinie Herbert-Żebrowskiej

Szczycę się Lwowie twą pieśnią i twym czynem
twoją prastarą wiarą, która jak górski potok płynie.
Dzisiaj, gdy słońce wstało ze Staffem wędrowałem
rytmem prześwietnej polszczyzny, archipelagiem
zaułków, pierzei i parków, bruków twych czarem.

I do Herberta wstąpiłem w podwórko na Łyczakowie,
jeszcze tam struna światła ulotne sceny tworzy.
Jeszcze tam szepcze drzewo, w murach osiadły głosy,
tkwią swym milczeniem – perły w morzu szumiącym.

Stałem tam kiedyś z siwą dziewczynką, przez chwilę
całkiem zatopioną w jakieś pogłosy Atlantydy: obłok
zadumy znane schody spowił, drzwi, tamte twarze,
wnętrza, wtpiał się w sceny, rozmowy wciąż żywe...

8.X.2012

Wędrowka

Rafałowi Żebrowskiemu

Kto zatrzyma wszystkie lwowskie zegary?
Noc napływa, a dzień trwa zbyt krótko.
Jeszcze chciałbym wędrować Gródecką,
na Łyczakowskiej odwiedzić jedno podwórko.

Jeszcze pieśni fontann w rynku posłuchać,
jeszcze chłonać freski w katedrze ormiańskiej,
jeszcze rozmowy przygodne prowadzić,
włóczyć się po starówce jak pies bezpański.

Jeszcze na Rylejewa wpatrzeć się w obrazy
z czasu plenerów dawno już minionych.
Z panią redaktor serdecznie bałakać,
cieszyć się gościnnością Jadziuni w ogrodzie.
Jeszcze z Goszczyńskim choć trochę pomilczeć,
przy Marii i Zapolskiej znów podumać sobie

i w końcu pod pylonem tym stanąć ogromnym
gdzie zniczy tysiąc o zmierzchu już płonie,
by słuchać i słuchać serc zgastych zbyt młodo...
Modlitwą objąć wszystkie rzędy grobów....

XI. 2012

Przy prochach Przyjaciela

Pozostań przy mim sercu ze swym
tomem wierszy Rafale razem
z wielu na półce biblioteki książkami
przyjaciół różnymi dedykacjami

szaleńców którzy wśród czytadeł
i parapeozji trwają
wierząc w sens swych poszukiwań
zmagają ducha nieustannych

Pozostań ze swym tonem
ascetycznym pożegnania

kustozu pamięci rodu Herbertów
z naszymi pogodnymi bałakami
z krokami lwowskim brukiem
wędrowką po kresowych szlakach

I z tamtą chwilą zostań gdyśmy
też razem pod Kolumną Zygmunta
wiersze swe czytali gdy dzień
już zmierzchał a gwiazdy się
nad zamkiem królów zapalały
współbrzmiał z strofami zegar stary

A póki moja myśl wędruje tutaj
będziemy się wciąż często spotykali
A póki sny istnieją cóż że jesteś
z tamtej strony

27.XII.2024

MARIUSZ OLBROMSKI

Obchody 100-lecia urodzin Zbigniewa Herberta we Lwowie

Rok 2024 był Światowym
Rokiem Zbigniewa
Herberta obchodzonym
na całym świecie pod
patronatem UNESCO.

100 lat temu – 29 października
1924 roku we Lwowie – urodził się Zbigniew Herbert. Poeta i eseista, autor utworów dramatycznych i słuchowisk, pisarz o wielkim dorobku, wyjątkowym autorytecie artystycznym i moralnym, o biografii tragicznie uwikłanej w historię XX wieku. Jest laureatem wielu polskich i zagranicznych nagród literackich. Należy do najczęściej tłumaczonych polskich pisarzy.

Konsulat Generalny RP we Lwowie zainicjował wiele wydarzeń upamiętniających poetę i jego związki ze Lwowem. We wrześniu konsulat ogłosił cały cykl zdarzeń poświęcony postaci Herberta pod tytułem „Pan Cogito we Lwowie”. Pierwszym etapem cyklu był konkurs skierowany do akademickiego środowiska lwowskich artystów Wydziału Grafiki i Sztuki Książki Instytutu Technologii Poligraficznych i Mediów Uniwersytetu Narodowego „Politechnika Lwowska” (Akademia Drukarstwa), polegający na zilustrowaniu



ARCHIWUM KONSULATU GENERALNEGO RP WE LWOWIE

wybranych wierszy Zbigniewa Herberta w dowolnej formie graficznej. Projekt cieszył się dużym zainteresowaniem młodzieży – wpłynęło kilkadziesiąt prac konkursowych. Wybrane prace zostały zaprezentowane na dwutygodniowej wystawie we Lwowskim Muzeum Narodowym. Wystawa zakończyła się 25 października. Spośród wyróżnionych prac jury wyłoniło dwunastu laureatów i nagrodziło

czterech grafików. Wiersze Herberta zostały odczytane po raz kolejny przez współczesnych mieszkańców ukochanego miasta, poezja nabrała nowych sensów i wywarła głębokie wrażenie na młodych artystach. Zwycięzcy konkursu – Anastasia Poliszczuk oprócz nagród ufundowanych przez konsulat, zdobyła statuetkę – popiersie Zbigniewa Herberta – w wizjonerskim wykonaniu znanego

lwowskiego rzeźbiarza Wiktora Prodanczuka. Podsumowaniem przedsięwzięcia stała się pamiątkowa „Teka Herbertowska”, zawierająca reprintsy dwunastu nagrodzonych i wyróżnionych prac ze słowem wstępu przygotowanym specjalnie przez profesora Andrzeja Franaszka.

Do światowych obchodów jubileuszowych włączył się Polski Teatr Ludowy, 28 października przywołując na deskach

Lwowskiego Akademickiego Teatru im. Lesia Kurbasa „Rekonstrukcję poety” – spektakl według dramatu poetyckiego Zbigniewa Herberta w reżyserii Bogusława Kierca w brawurowym wykonaniu Wiktora Lafarowicza, Miłosza Borzęckiego i Zbigniewa Chranzowskiego. W wigilię 100-lecia urodzin poety we Lwowie wybrzmiało Przesłanie Pana Cogito „(...) idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach (...)”.

29 października przedstawiciele polskiej społeczności we Lwowie, Kierownik Konsulatu Generalnego Pani Konsul Dorota Dmuchowska wraz ze współpracownikami złożyli kwiaty na ul. Łyczakowskiej 55 – pod tablicą upamiętniającą Zbigniewa Herberta, w miejscu, w którym się urodził i żył przez kilka lat.

Wszystkie przedsięwzięcia cieszyły się dużym zainteresowaniem zarówno środowiska literackiego, artystycznego jak i publiczności gromadzącej się licznie na wydarzeniach proponowanych przez konsulat w ramach obchodów Światowego Roku Zbigniewa Herberta.

ŹRÓDŁO: KONSULAT GENERALNY RP WE LWOWIE

Wizyta we Lwowie delegacji Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas (cz. 2)

Podczas kolejnej wizyty we Lwowie przewodniczącemu Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas Mateuszowi Dzieduszyckiemu towarzyszyły Melania Dzieduszycka, sekretarz Rady Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas, Jan Krzywdziński, koordynator projektów Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas, Katarzyna Sołek, dyrektor Departamentu Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podkarpackiego i Konrad Sawiński, dyrektor Muzeum w Jarosławiu „Kamienica Orsettich i Muzeum Dzieduszyckich w Zarzeczcu”.

TEKST I ZDJĘCIA
JURIJ SMIRNOW

Delegacja przybyła do Lwowa w sprawach uzgodnienia wspólnych polsko-ukraińskich działań w przygotowaniu do jubileuszowego roku Włodzimierza Dzieduszyckiego (urodził się 22 czerwca 1825 roku – zmarł 18 września 1899 roku) – 200-lecia z dnia urodzin tego wybitnego działacza społecznego i politycznego życia Galicji, przyrodnika, mecenasa nauki, kultury i sztuki.

Podczas wizyty do Lwowa delegacja Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas spotkała się z przedstawicielami lwowskich władz i ukraińskich instytucji kultury, muzeów, bibliotek. Tematem przewodnim wszystkich rozmów była właśnie postać Włodzimierza Dzieduszyckiego i jego wspaniałe dziedzictwo, wybitnie znaczące dla rozwoju kultury, sztuki i nauki we Lwowie. Reportaż o tych spotkaniach umieściliśmy w „Nowym Kurierze Galicyjskim” (nr 23, grudzień 2024 roku).

Obok spotkań z partnerami ukraińskimi, ważnym wynikiem pobytu delegacji Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas było nadzorowanie postępu prac konserwatorskich na terenie Lwowa, które Związek prowadzi już od kilku lat. Projekty konserwatorskie Związku dotyczą obiektów związanych z rodziną Dzieduszyckich, na przykład, odnowienia unikatowych ksiąg biblioteki Muzeum Przyrodniczego NAN Ukrainy, również pomników na grobach Dzieduszyckich na Cmentarzu Łyczakowskim oraz cennych zabytków rzeźby lwowskiej, takich jak XVII-wiecznej grupy rzeźbiarskiej „Chrystus” na fasadzie kamienicy nr 24 w Rynku lwowskim.

Wszystkie projekty są realizowane dzięki wsparciu finansowemu polskiego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i warszawskiego Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa za Granicą



MELANIA I MATEUSZ DZIEDUSZYCCY

„Polonika”. Instytut nadzoruje też wspólne polsko-ukraińskie prace zespołów konserwatorskich na tych obiektach i otacza je opieką merytoryczną.

Właśnie o projektach konserwatorskich we Lwowie, prowadzonych z inicjatywy Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas, rozmawiamy z Melanią Dzieduszycką, sekretarzem Rady Związku. Między innymi Melania Dzieduszycka zaznaczyła:

– Już drugi rok ekipa konserwatorów pod kierownictwem Anny Kudzi z warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych pracuje przy konserwacji monumentalnego nagrobka generała Wojsk Polskich Józefa hrabiego Kalinowskiego. Generał Kalinowski walczył też w szeregach wojsk francuskich, był odznaczony francuską Legią Honorową, polskim Krzyżem Virtuti Militari. W tymże grobowcu pochowano też kilku przedstawicieli rodziny hrabiów Brzezia-Russowskich. Jest to jeden z najbardziej znaczących projektów konserwatorskich naszego Związku na Cmentarzu Łyczakowskim. Podczas tegorocznych prac okazało się, że ten pomnik w kształcie neogotyckiej edykuly ma odchylenie od pionu. Jest to poważny problem techniczny. Teraz całkiem rozebrano strukturę tego pomnika i rozpoczęto pracę od wzmocnienia fundamentu, zaś wszystkie rzeźbione detale pomnika przeniesiono do pracowni konserwatorskiej. Jest to ogromne przedsięwzięcie zważając na wymiary i wagę pomnika. Ostabienie fundamentów nastąpiło być może z powodu spływającej z góry wody, otóż podczas prac przy wzmocnieniu fundamentów trzeba i ten aspekt brać pod uwagę. Oczywiście, że to potrzebuje dodatkowych środków finansowych i zaciąga prace konserwatorskie. Na dzień dzisiejszy pomnik został rozebrany i częściowo przeniesiony do pracowni. Górna część nagrobka (neogotycki szczyt z krzyżem wsparty na dwóch kolumnach) został wykonany z dużych płyt kamiennych ozdobionych pinaklami, co spowodowało dodatkowe trudności, ale teraz i te płyty,

pinakle, krzyż i inne elementy już są zabezpieczone i będą podane konserwacji. Wszystko razem jest to duża praca, nie na rok i nie na dwa. Przy demontażu pomnika na konserwatorów czekała ciekawa niespodzianka. Otóż odnaleziono mozaikę. Okazało się, że nagrobek ma dwie części, dużą część zadaszoną, zaś z przodu część w kształcie tablicy. Między nimi była położona kostka brukowa. Przy demontażu właśnie kostki okazało się, że pod spodem, pod kostką jest mozaika z drobnych kolorowych płytek, ułożonych na wzór krzyża koloru niebieskiego. Wykonano mozaikę w tak zwanej technice terrazzo. Jest to piękna ciekawostka i takie odkrycia zdarzają się bardzo rzadko. Wszystko leży teraz w pracowni konserwatorskiej, oczyszczone i zabezpieczone. Mozaika jest tak naprawdę bardzo delikatna, dlatego jest pytanie jak ją najlepiej wyeksponować. To będzie problem i potrzebna będzie decyzja znawców i konserwatorskich władz Lwowa. Na Cmentarzu Łyczakowskim znajduje się 15 udokumentowanych nagrobków rodziny Dzieduszyckich. Część z nich już została odnowiona w poprzednich latach, inne nie potrzebują ingerencji konserwatorów. Zostało jeszcze kilka nagrobków. Nie są one na tyle skomplikowane, żeby miał pracować konserwator. Może zorganizujemy wolontariuszy z Polski, ze Lwowa. Ale to już raczej po wojnie. Przez cały czas mamy w głowie myśl o kaplicy Dzieduszyckich, zburzonej w 1944 roku podczas działań wojennych. Brak zdjęć i opisów tej kaplicy. Cały czas szukamy, pytamy. Może są zdjęcia w archiwach,



ULIANA ROMANOW (OD LEWEJ) I MELANIA DZIEDUSZYCKA



ZABYTKOWE KRZESŁO
WŁODZIMIERZA DZIEDUSZYCKIEGO

prywatnych zbiorach, w książkach. Żmudnie szukamy. Na razie trzeba zabezpieczyć fundamenty i postawić coś w rodzaju tablicy z napisami, kto tam spoczywa. Nad tym pracujemy. W 2024 roku i na pewno w 2025 roku skupimy się przy nagrobku generała Józefa Kalinowskiego, a dalej zobaczymy. Mamy taki pomysł – zacząć odnawiać nagrobki znanych lwowskich przyrodników, również tych którzy współpracowali z Włodzimierzem Dzieduszyckim. Może uda się ten pomysł zrealizować. Wszystko zależy od finansowania. W sprawie grobów przyrodników zaczniemy w 2025 roku od inwentaryzacji. Trzeba dokładnie wiedzieć, ile tych nagrobków na cmentarzu i w jakim są one stanie.

Związek Rodowy Dzieduszyckich herbu Sas już od kilku lat, od 2022 roku, prowadzi prace konserwatorskie przy kamienicy Szolc-Wolfowiczów w Rynku 24. Ratujemy grupę rzeźbiarską „Chrystus Jezusa” w narożniku tej kamienicy, wpisanej na listę UNESCO. Odnowiono już wszystkie figury, które znajdują się w pracowni konserwatorskiej. Będą tam „mieszkać” do zakończenia wojny. Taka jest wspólna decyzja Instytutu „Polonika” i lwowskich władz konserwatorskich. Wrócą na Rynek, ale później, po wojnie. Tymczasem w sezonie 2024 roku zespół konserwatorów pod kierownictwem Anny Kudzi prowadził prace nad zabezpieczeniem niszy na fasadzie kamienicy, w której rzeźby będą ustawione. Wśród innych prac konserwatorskich naszego Związku czołowe miejsce należy konserwacji cennych, unikatowych ksiąg

z biblioteki Poturzyckiej Włodzimierza Dzieduszyckiego. Mówił już o tym Jan Krzywdziński, koordynator projektów konserwatorskich Związku. Podczas rozmów z dyrekcją Państwowego Archiwum Historycznego Ukrainy we Lwowie oglądaliśmy wspaniałe, bardzo rzadkie dokumenty rodzinne Dzieduszyckich, które znajdują się w tym archiwum. Są to prawdziwe skarby – zdjęcia, dyplomy, listy, pochodzące z biblioteki i archiwum Dzieduszyckich w pałacu na ul. Kurkowej. Niezwykle bogate zbiory na Kurkowej zostały w czasie II wojny światowej częściowo rozproszone, częściowo zniszczone. To co zostało, znalazło się w bibliotece im. W. Stefanyka, w Państwowym Archiwum Historycznym, zaś pojedyncze cenne dokumenty w różnych innych muzeach. Dokumenty w bibliotece im. W. Stefanyka są bardzo starannie uporządkowane i w znacznej części we współpracy z wrocławskim Ossolineum zdigitalizowane. Te prace cały czas trwają. Wszystkie dokumenty są dostępne dla naukowców i innych badaczy. Dokumenty w Państwowym Archiwum Historycznym niestety są przechowywane w zwykłej drewnianej szafie, która wcale nie zabezpiecza stanu nienaruszalnego tych dokumentów. Dyrektor archiwum pokazała nam tę szafę w 2023 roku. Potrzebna jest szafa specjalistyczna, ognio i wodoodporna, żeby nie były zagrożone wilgocią i innymi kataklizmami. Marzyło się nam, żeby dokumenty były zabezpieczone w odpowiedniej szafie. Otóż Związek myśli o kupieniu nowej szafy i przeniesieniu do niej tych wszystkich dokumentów. Staramy się, ale taka szafa kosztuje bardzo drogo. Mamy nadzieję że uda się nam kupić nową szafę w 2025 roku. W bibliotece Muzeum Przyrodniczego przy ulicy Teatralnej znajdują się XIX-wieczne zabytkowe meble, z których korzystał jeszcze założyciel tego muzeum Włodzimierz Dzieduszycki. Myślimy o ich renowacji i odpowiednim wyeksponowaniu.

Inicjatywy Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas, nasze prace konserwatorskie we Lwowie, zainteresowały przedstawicieli innych związków rodowych w Polsce. Na przykład, zwróciła się do nas o konsultację i pomoc merytoryczną rodzina Rozwadowskich. We Lwowie i w różnych miejscach na Ukrainie mają swe groby rodzinne, szukają możliwości te groby uporządkować i odnowić – rozmawiamy na ten temat, konsultujemy się, podpowiadamy jak to się robi. Na razie prace konserwatorskie są zakończone do wiosny 2025 roku. Rada Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas przygotowuje nowe plany na nowy 2025 jubileuszowy rok, rok 200-lecia urodzin Włodzimierza Dzieduszyckiego.

mówią wiele o naszej historii, a które niestety w sposób naturalny zanikają.



dr Magdalena Pokrzyńska
Instytut Socjologii, Uniwersytet Zielonogórski

Oba przedsięwzięcia, które zrealizowałam z Głogowską Edukacją Kresową i Instytutem Polonika – ubiegłoroczna praca w Wikszanach (Rudzie) oraz tegoroczna praca w Pojanie Mikuli – wpisują się w moją pracę zawodową, były to przecież prawdziwe badania terenowe. Ale oba pobyty budzą we mnie ogromne sentymenty. Po raz pierwszy na Bukowinę – właśnie do Pojany Mikuli – pojechałam późną jesienią 1994 roku jako studentka etnografii. To była wyprawa studenckiego koła naukowego, kierowana przez prof. Eugeniusza Kłoska.

Wspomnienia z tego czasu są nadal żywe. Pojana Mikuli bardzo się zmieniła od czasu tych moich studenckich pobytów (bo po tym pierwszym były jeszcze kolejne). Zmieniły się domy, droga, kultura dnia codziennego, styl życia mieszkańców. Niestety, wiele osób, które były ważne w moim doświadczeniu z tego okresu, już nie żyje, są pochowani właśnie na cmentarzu, na którym prowadziliśmy w tym roku prace dokumentacyjne. Ale z młodszymi nadal mogę porozmawiać i wspominać dawne lata. Ten rok jest dla mnie jubileuszowy. Skłania to do refleksji o następstwie pokoleń: teraz mogę zawieźć na Bukowinę studentów, pomagając im stawiać pierwsze kroki w pracy terenowej. Mogę też pokazać Rumuni



innym osobom będącym wolontariuszami, nie z perspektywy modnych turystycznych tras, ale trochę inaczej – z perspektywy badań nad kulturą polską na pięknej, wielobarwnej Bukowinie. Jednocześnie, mam poczucie, że uczestniczymy razem w czymś ważnym dla relacji społecznych, naszej samoświadomości i wiedzy oraz mamy udział w zachowaniu fragmentu dziedzictwa kulturowego i wartości w nim zawartych dla przyszłych pokoleń.

Angażujemy się w coś, co jest poza mainstreamem, a co jest istotne nie tylko dla nas samych i dla „tu i teraz”. I właśnie to jest dla mnie bardzo ważne w tych wyjazdach.

dr Jan Walczak
Stowarzyszenie Głogowska Edukacja Kresowa

W projekcie na Bukowinie uczestniczyłem wraz moją córką Zosią, licealistką. Był to zupełnie inaczej spędzony czas wakacji niż sobie to wyobrażaliśmy. Zanurzenie się w polską kulturę w Rumunii było dla nas niesamowitym, wartościowym

doświadczeniem. Duże wrażenie robi szczerza religijność tamtejszych Polaków, która jest ważnym wyznacznikiem polskości. Wspamiętałem również to, że państwo rumuńskie wspiera polską mniejszość i finansuje inicjatywy kulturalne o polskim charakterze. Polacy na Bukowinie są niezwykle życzliwi i otwarci, a przyroda otaczająca miejscowości pośród gór bardzo piękna. O Rumunii zawsze będziemy myśleć przez pryzmat Bukowiny.

Zosia Walczak
licealistka I LO w Głogowie, Stowarzyszenie Głogowska Edukacja Kresowa

Taki wyjazd jest bardzo ciekawym sposobem na rozwinięcie wiedzy o kulturze i historii. Osobiście wcześniej nie wiedziałam o tym, że polskie rodziny mieszkają tak licznie na terenie Rumunii. Podczas wolontariatu zajmowałam się spisywaniem wszystkich inskrypcji z nagrobków na terenie cmentarza. Wpisywałam do arkuszy ewidencyjnych imiona, nazwiska, daty oraz różnorodne dopiski, które

znajdowały się na nagrobkach. Niektóre były nieczytelne, bądź trudne do przepisania. Nie było to najłatwiejsze zadanie jak na pierwszy taki wolontariat, ale to co robiłam miało sens i bardzo mi się podobało.



Ryszard Wiśniowski
Stowarzyszenie Głogowska Edukacja Kresowa

Na wiadomość, że będę uczestnikiem tego projektu bardzo się ucieszyłem.

Dlaczego? Człowiek tak długo żyje, jak długo trwa o nim pamięć. Dzięki nam jeszcze jedno pokolenie dłużej będzie pamiętać, że tysiąc kilometrów od Polski żyli i żyją Polacy. Uwielbiam poznawać nowych ludzi i ich historie, a Bukowina to kraina bardzo gościnna i przyjazna. Na Bukowinę jedzie się raz, a potem się tęskni.

Paulina Pycka
dyrygentka chóru Canzona oraz instruktor muzyczny Gminnego Ośrodka Kultury, Bibliotek i Sportu w Łagiewnikach, dumny potomek górali czadeckich, uczestniczka spotkania popularyzującego projekt w Muzeum Miejskim Dzierżoniowa

Dnia 23.10.2024 w Dzierżoniowskim Muzeum odbyło się spotkanie poświęcone podsumowaniu projektu „Cmentarz, kapliczki i krzyże przydrożne w Pojanie Mikuli – dokumentacja terenowa polskiego dziedzictwa kulturowego w Rumunii” prowadzone przez dr Magdalę Pokrzyńską. Słuchaczami prelekcji i prezentacji byli głównie potomkowie górali czadeckich z terenu powiatu dzierżoniowskiego. Praca, jaka włożona została w zewidencjonowanie i udostępnienie on-line rzeźzonej ewidencji grobów znajdujących się w Pojanie Mikuli jest nieoceniona. Pozwala wszystkim zainteresowanym tematem na dokładne zlokalizowanie miejsc pochówku swoich zmarłych przodków i obecnego stanu grobów. Prezentacja przeprowadzonych prac, a szczególnie dołączone zdjęcia konkretnych grobów, a także dawne zdjęcia z obchodów uroczystości wzbudziły wśród zgromadzonych największe emocje. Podsumowanie projektu było również okazją do spotkania, wymiany spostrzeżeń i wspomnień związanych z Pojaniem. Dziękuję bardzo za włożoną pracę na rzecz kolejnych pokoleń górali czadeckich, którzy mogą odkryć historię swoich przodków.

Kościół św. Mikołaja w Kijowie celem rosyjskich ataków raketowych

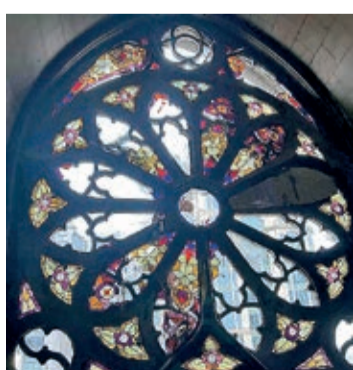
Rano 20 grudnia w wyniku podstępnej ataku raketowego Rosji na stolicę uszkodzony został kościół św. Mikołaja. W wieżach świątyni powypadały szyby, zniszczeniu uległy również niektóre witraże.

Zostały uszkodzone także wieże kościoła, które od dawna czekają na powrót krzyży. Niestety, budynki sąsiadujące ze świątynią ucierpiały jeszcze bardziej. Według dostępnych informacji zginęła jedna osoba, a około dziesięciu zostało rannych.

Rosyjska agresja nie zna granic – atakowane są cywilne budynki, giną niewinni ludzie, a także niszczone miejsca kultu. Pomimo tych zniszczeń, wierni są przekonani, że kościół zostanie odbudowany i wróci do swojej prawowitej wspólnoty parafialnej.

– Wierzimy w sprawiedliwość i zwycięstwo. Bóg na pewno zatriumfuje, a Ukraina odzyska pokój – podkreślają parafianie.

Ojciec Paweł Wyszowski OMI, proboszcz świątyni, przypomina o symbolice walki o zachowanie dziedzictwa sakralnego:



– Katedra Notre Dame w Paryżu została odbudowana i z pompą ponownie otwarta przez światowych przywódców. Ale czy świat zwróci uwagę na

kościół św. Mikołaja w Kijowie? Nasza świątynia już wcześniej znajdowała się w katastrofalnym stanie, a dzisiejsze zniszczenia to kolejny znak Bożej opieki, który pozwolił zachować gotycką perłę Kijowa przed całkowitym zniszczeniem.

Ojciec Wyszowski nie traci nadziei: – Wierzę, że kościół w Kijowie wróci do parafii, a świątynia zostanie odnowiona. Nasza wspólnota nieustannie walczy o swoje dziedzictwo.

Pomimo trudnej sytuacji proboszcz zaprasza wszystkich na świąteczną Mszę Bożonarodzeniową 24 i 25 grudnia: – Będzie to symbol naszej niezłomności. Nikt i nic nie odbierze nam Bożego Narodzenia.

Przypomnijmy, że kościół św. Mikołaja, uszkodzony w wyniku pożaru w 2021 roku, miał zostać przekazany wspólnocie parafialnej na mocy memorandum. Niestety, mimo obietnic, do grudnia 2024 roku tego nie zrealizowano.

ŹRÓDŁO: NA PODSTAWIE FACEBOOK, RZYMSKOKATOLICKA PARAFIA ŚW. MIKOŁAJA W KIJOWIE
FOT. FACEBOOK, RZYMSKOKATOLICKA PARAFIA ŚW. MIKOŁAJA W KIJOWIE



Witryna literacka

Zamek Zbigniewa Herberta



Wzniósł Cieniu Wysoki Zamek ze wspomnień cierpienia miłości z mamy zatroskanego westchnienia z cierpliwych kolan babci z wielu godzin tułaczki pióra nie dla uroku zabawy sztuki istnienia

Zbudowałeś ten zamek jak Akropol gdzie jasny marmur wywodu dźwiga złoty podział myśli i serca

Patrzą zeń wciąż na miasto kariatydy piękne lwowskie dziewczęta dźwigają cierpliwie zmienny strop nieba

Ta – pewno rozważa co to jest Prawda Inna – rozmyśla co to Sprawiedliwość Następna niesie w spojrzeniu Wolność Inna słowo Rzetelność przez wszystkie godziny trwania w milczeniu odmienia

Nie rozkruszy tego Zamku kłamstwo nie rozbije nigdy żaden zmysłny pocisk Będzie trwał wśród każdego pokolenia

MARIUSZ OLBROMSKI, 29.X.2024

Zakamarki wspomnień (cz. 1)

Rozmowa

ANNY GORDIJEWSKIEJ z aktorem, reżyserem, działaczem teatralnym, dyrektorem Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie ZBIGNIEWEM CHRZANOWSKIM.

W latach 80. zmuszony był Pan opuścić Lwów, ale tak naprawdę nigdy Pan z naszego miasta nie wyjechał. Czy wraca Pan do wspomnień z wczesnego dzieciństwa?

Bardzo często, a właściwie może nawet codziennie. Już nawet zastanawiam się, jaki magnes zmusza mnie wciąż na nowo do tych powrotów rzeczywistych i do tych w myślach. Może dlatego, że tak naprawdę nie udało mi się wyjechać ze Lwowa. Być może z powodu spraw rodzinnych, bo kiedy opuszczałem Lwów, zostawała tu jeszcze matka, moja siostra, więc były to powroty i rodzinne, i równoległe jakby, sprawy artystyczne, czyli teatr, zespół teatralny, który pozostał we Lwowie, z którym kontakt też się nie urwał. Ale wracając do dzieciństwa, o które Pani zapytała, to też jest dziwny zbieg okoliczności, że budynek, w którym się urodziłem i w pierwszych latach mieszkałem z rodzicami – to olbrzymi gmach dawnego Teatru Skarbkowskiego. Są tam dwa ogromne podwórza po prawej i po lewej stronie, i tam było nasze małe mieszkanko, do którego się wchodziło z podwórka, ale z tego mieszkanka można było również wejść do sali widowiskowej, która wtedy była kinoteatrem. Pamiętam seanse filmowe, pamiętam nasz mały pokój, i to utkwilo mi bardzo w pamięci. Było tak małe, że – zapamiętałem taki szczegół – podczas świąt Bożego Narodzenia w tym mieszkanku nie było miejsca na choinkę. Mój ojciec, który miał złote ręce, wspaniałe pomysły i potrafił wyczarować różne techniczne cudenka, zawiesił choinkę pod sufitem. To drzewko wisiało nad nami jak żyrandol. Małe mieszkanko z małutkim aneksem kuchennym i to wyjście w zaczarowany świat, w świat sali widowiskowej, sali kinowej, w której, jak Gałczyński pisał, „snuje się srebrny dym”.

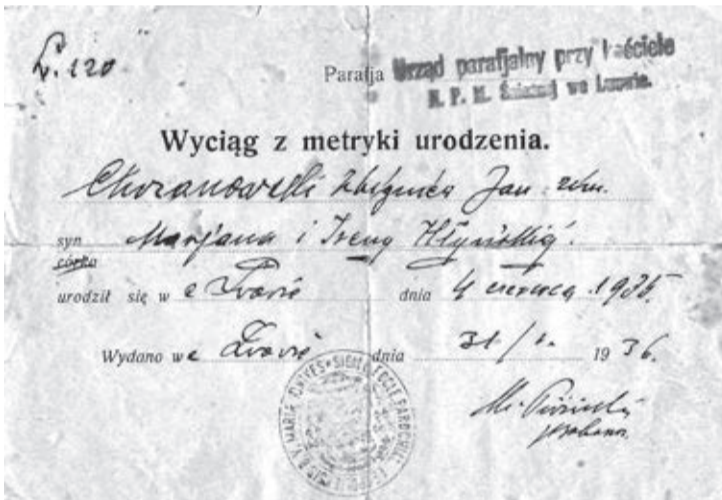
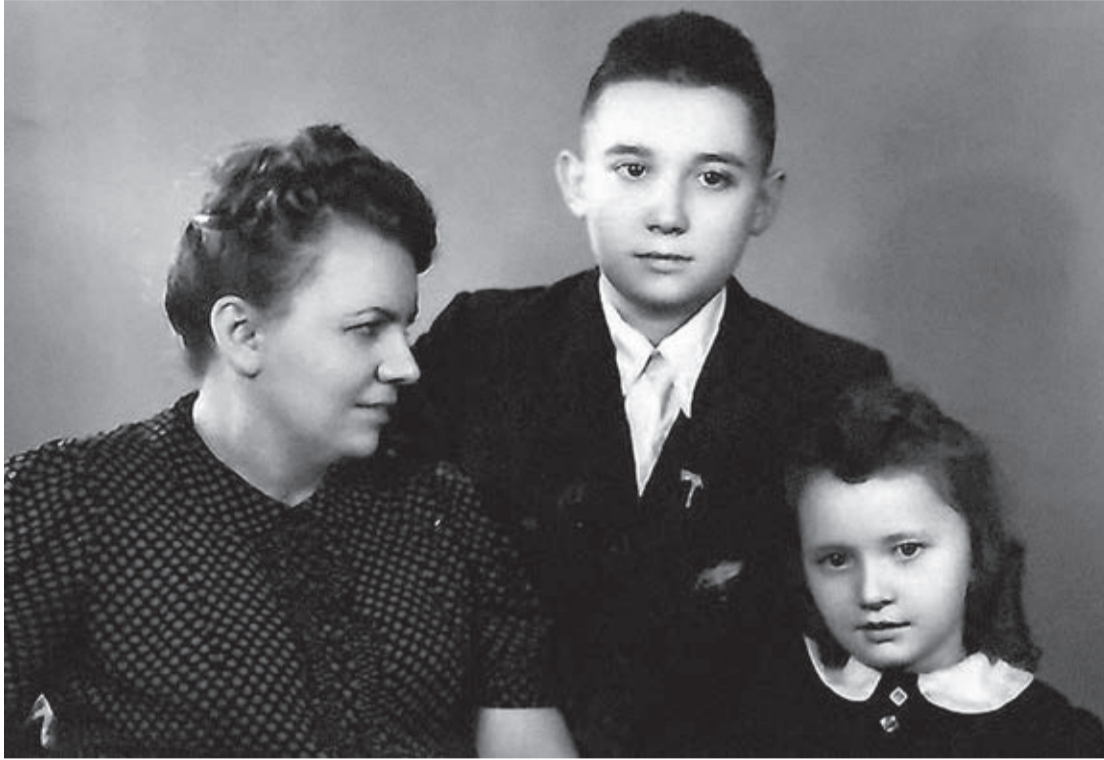
I te długie balkony, z których można było widzieć co robią sąsiedzi i co się dzieje na tym podwórku. A jeszcze wracając do Bożego Narodzenia, czy to drzewko było żywe?

Oczywiście, to była prawdziwa, mała choinka. Zachowały się jeszcze nawet ozdoby. Jedną z nich do dziś przechowuję w swoim mieszkaniu.

Co to jest?

To jest taki niby święty Mikołaj, ale trochę dziwny, bo proszę sobie wyobrazić, zrobiony z kombinacji kauczuka i jakiejś puszystej masy. Ma jakieś takie śmiesznie powyginane ręce, oczywiście worek z prezentami i laskę. To jest taka wisząca, mała zabawka.

Czyli przedwojenna, fabrycznie wyprodukowana, nie własnej roboty?



To była produkcja przedwojenna ozdób choinkowych i ciekawe, że właśnie zastosowano już tu jakieś tworzywo syntetyczne, nie dmuchane szkło, lecz kauczuk. Ale ozdoba ta jest bardzo piękna, bardzo mi bliska do dziś.

Chciałem jeszcze powiedzieć, że dziwnym zbiegiem okoliczności, nawet teraz, kiedy przyjeżdżam do Lwowa, mam swoje ulubione miejsce, i tym ulubionym miejscem, w którym zazwyczaj jadłem obiady, jest „Lwowska Premiera” w bocznej uliczce, która przylega jakby do gmachu Teatru Skarbkowskiego. Właściwie jak gdyby mimo woli przechodzę cały czas obok swojego mieszkania.

Po rekonstrukcji w 1939 roku sali kinowej miała wrócić stara sala teatralna. Kiedy wspominałem o sali kinowej, nigdy jako mały chłopak nie podejrzewałem, że za tym ekranem znajduje się ogromna scena. Do tej sceny wróciłem dopiero wtedy, kiedy mój ojciec zaczął pracować po wojnie jako elektryk teatralny, a ja mogłem wtedy w ten zaczarowany świat sceny, teatru już wejść.

Kiedys na podwórku dawnego Teatru Skarbkowskiego nagrywałam wywiad z Panem. Staliśmy na balkonie, a Pan



opowiadał mi, co obserwował właśnie z tych balkonów. Wspominał Pan o tym, że tam były duże drzwi i że Pan widział jak wjeżdżała dekoracja do wnętrza teatralnych...

Oczywiście, bo z jednej i z drugiej strony było tak przewidziane w konstrukcji tego teatru, że dekoracje mogły wjechać z prawej i z lewej strony i były to duże bramy wjazdowe, przez które wchodziło się również na klatki schodowe. Szło się na górę tam, gdzie były mieszkania aktorów, pracowników teatru, i później mieszkania kwaterunkowe, ale jednocześnie z tych bocznych wejść wjeżdżały na scenę dekoracje, tam się czasem można było jako dzieciarnia prześlizgnąć i zobaczyć tę ogromną scenę, która już później była bardzo mi bliską sceną,



po której mogłem się poruszać jako reżyser, współpracować, poznawać aktorów... No, ale to były już późniejsze lata.

Jakie jeszcze są ulubione Pana zakamarki we Lwowie?

Zakamarki we Lwowie? Jest ich bardzo dużo. Ale wracając ciągle do tej zaczarowanej dzielnicy, gmachu hrabiego Skarbka, proszę sobie wyobrazić, że z okien naszego drugiego mieszkania (jak powiedziałem, podczas rekonstrukcji zmieniła się nasza lokalizacja, przeniosła się na drugą stronę budynku), było widać kościół Panny Maryi Śnieżnej, kościół, w którym byłem ochrzczony, w którym przyjąłem pierwszą komunię. Później, właśnie po schodkach tego kościoła wchodziłem do góry, mijałem świątynię i zdążyłem do swojej pierwszej klasy, czyli do szkoły, która mieściła się w klasztorze benedyktynek. Z okien naszego mieszkania to wszystko było widoczne. To dla mnie zaczarowane miejsce i tam powracam. Lubię wchodzić po

tych schodkach. Widzę wówczas siebie małego, z tekturowym tornistrem na plecach, z kałamarzem, który w takim woreczku się nosiło. Ubranie było ciągle poplamione atramentem i wszystko dookoła mnie. Ale to nie było ważne. Najważniejsze było to, że wchodziło się na dziedziniec klasztoru benedyktynek, i dalej była... moja pierwsza klasa.

Ten piękny zakątek Lwowa ja również bardzo lubię, jest on uroczy, bo za kościołem Matki Boskiej Śnieżnej jest ta wąska uliczka, jest dobrze zachowany dawny kościół sióstr benedyktynek.

A propos, to był kościół Wszystkich Świętych.

Tak, teraz jest tam grekokatolicka cerkiew.

Tak, ale bardzo pięknie zachowana i odrestaurowana.

Przez Instytut „Polonika”. Dobrze, że strona polska tak dba o te piękne zabytki Lwowa.

Ale to była tylko pierwsza klasa, to był 1941 rok, czas okupacji. A później okazało się, rodzice otrzymali informację, że już w klasztorze benedyktynek nie będzie nauki, że zostaliśmy przeniesieni do małej kamienicy za dawnym arsenałem, która zachowała się do dziś dnia. Okupacja miała swoje ponure i straszne strony. Pamiętam jak dziś, jak do klasy wszedł oficer niemiecki w towarzystwie naszej nauczycielki i wytłumaczył jej coś po niemiecku. Nauczycielka zwróciła się do nas ze słowami: „Dzieci, proszę sobie mocno paluszki włożyć do uszu i otworzyć buzię, bo będzie wybuch”. Ten wybuch nastąpił. Teraz wiemy co tam było, co za tą kamienicą wybuchło...

Tam była piękna synagoga Żłota Róża....

Pozostałość, właśnie pozostałość, ale nikt z nas wtedy nie wiedział, jak cenny zabytek Lwów traci. Ta synagoga była przecież historycznym, jednym z najwspanialszych obiektów starego Lwowa.

Czyli można powiedzieć, że wszedł Pan do szkoły, a wyszedł Pan i zobaczył zrujnowaną synagogę?

To znaczy, zobaczyłem ruiny, ale do późnych lat nie wiedzieliśmy, co to były za ruiny, później oczywiście się dowiedziałem, że to była synagoga, że tam była dzielnica żydowska.

Dotychczas istnieje tam ulica o nazwie Starożydowska.

Starożydowska, prawda, do dziś dnia. Te wspomnienia z dzieciństwa nie opuszczają mnie. Chodzę tymi ulicami, to są moje ulubione dzielnice i z jednej strony jest to spacer, a z drugiej strony docelowe podążanie dokąds.

Czyli możemy powiedzieć, że Pan zataczał koło, bo kościół Matki Boskiej Śnieżnej był niedaleko Pana domu. A czy droga



do domu prowadziła Pana przez Rynek, znajdujący się obok?

Jeżeli chodzi o Rynek, to przede wszystkim tamtędy chodziłem do swojego ulubionego kościoła dominikanów, do kościoła Bożego Ciała, jednego z najpiękniejszych kościołów Lwowa, do dziś funkcjonującego. W późniejszych latach, kiedy, niestety, nie pełnił już swej roli sakralnej, często organizowałem w tym kościele, już jako pracownik i reżyser telewizji, koncerty muzyki kameralnej, klasycznej. Oskarżono mnie później o to, że propaguję obiekty i wartości sakralne.

Chciałabym jeszcze zapytać Pana o szczęśliwe fragmenty dzieciństwa, bo przecież był to Lwów przedwojenny, który Pan pamięta.

Jeżeli chodzi o ten przedwojenny Lwów, to właściwie był to dla mnie bardzo krótki okres. Proszę sobie wyobrazić, że jako czterolatnie dziecko urodzone w 1935 roku, już w 1939 roku przeżyłem wojnę, czyli tak zwany akt rzekomego wyzwolenia Lwowa i tak dalej... Potem była okupacja. Łącznie czas zamknięty w granicach około dziewięciu lat. Najszczęśliwszym momentem, do którego często wracam, były moje spacerunki z babcią Basią z tegoż starego mieszkanka z ulicy Skarbkowskiej. Babcią Basia prowadziła mnie powolutku przez jezdnię na Wały Hetmańskie. Przed Teatrem Wielkim, bo tak się wtedy nazywał, był ogromny kwiatnik, taki klomb, i babcią prowadziła mnie dookoła. Te spacerunki pamiętam do dziś.



Za mną był ten przepiękny, jeden z najpiękniejszych budynków Lwowa, ale nie tylko Lwowa, bo i w skali europejskiej, czyli Teatr Wielki, do którego kiedyś po latach – nigdy nie myślałem – przyjdę już jako reżyser, jako realizator przedstawień.

Jak babcia wyglądała, w co się ubierała?

Babcia była już wtedy kobietą bardzo wiekową, pamiętam, że miała na sobie bardzo długą spódnice, jakąś chusteczkę. Babcią urodziła pięcioro dzieci, czwórka synów i jedną córkę, więc była na pewno kobietą spracowaną w życiu. Była bardzo pogodna, zawsze mówiła do mnie „Zbysiu, zaczekaj chwileczkę, bo nie nadążam”, a ja biegałem już dookoła. Do dziś zostało mi w pamięci, jak babcią mnie uczyła, że gdybym się gdzieś na Wałach Hetmańskich zgubił, to żebym wiedział co mam powiedzieć.

I co miał Pan powiedzieć?

Miałem powiedzieć, że nazywam się Zbysio Chrzanowski z ulicy Skarbkowskiej, bo lokalizacja gmachu Teatru Skarbkowskiego to była właściwie ulica Skarbkowska.

Ale Pan się nigdy nie zgubił?

Nie, ja się nie gubiłem nigdy, ale nauczyłem się tych słów, jako mały chłopczyk. A brzmiało to mniej więcej tak: „Bysio Śloski, z ulicy Połki”.

Nikt by nic nie zrozumiał.

Nikt by nie rozumiał, a jednak. I tak mi ta ulica Połka została



w zakamarkach moich wspomnień do dziś.

Może Pan pamiętać w co był ubrany?

Mam fotografie.

To proszę opisać.

Mam fotografie, na których jestem w krótkich spodenkach na szelkach granatowych, prawdopodobnie, a powiem dlaczego granatowych, i koszulka z krótkimi rękawkami, podkolanówki, jakieś buciczki, na głowie nic nie miałem – i taka jest jedna z moich pierwszych fotografii. Dlaczego pamiętam, że granatowe spodenki były? Dlatego, że malarz, który pracował w ówczesnym kinie i malował po prostu reklamy kina, namalował mój portret na płótnie, więc zapamiętałem te kolory. Opięram się na metalowej barierce, za mną jest jeden z tych pięknych kasztanów na Wałach Hetmańskich. Dlatego też zapamiętałem kolor tego ubranka.

To były te szczęśliwe dni dzieciństwa. Później nastąpiła okupacja Lwowa.

Tak, okupacja Lwowa, druga wojna światowa, Lwów, który zmieniał zdobywców przychodzących i odchodzących. Mówimy o 1939 roku i wejściu wojsk sowieckich do Lwowa, później odwrót i wkroczenie armii hitlerowskiej. W tym wszystkim człowiek jakos

tak się trochę gotował jak w kotle, ale dziecko zapamiętuje pewne momenty, i zapamiętałem straszny moment, bo to było blisko domu w którym myśmy mieszkali. Po ulicy Krakowskiej rozniósł się wieść, że jest tam pogrom żydowski i że wieszają Żydów. W grupie dzieciarni pobiegliśmy na ulicę Krakowską i z daleka tylko widzieliśmy ogromny tłum, i że z balkonów kamienicy wiszą jakieś ciała. Szybko uciekliśmy stamtąd, widok był przerażający, choć do końca nie mówił nam o całej tej tragedii, która w różnych dzielnicach miasta Lwowa i w getcie za torami kolejowymi miała miejsce. Pamiętam również dramatyczne chwile, kiedy w czasie bombardowania Lwowa kryliśmy się w piwnicach. Te piwnice były naszym mieszkaniem podczas nalotów, bombardowania. Myśmy schodzili do tak zwanych schronów, i tam były nasze noclegi, tam można było kilka dni nawet dla bezpieczeństwa się znajdować. Mieliśmy swoją piwnicę i tam jakieś takie, powiedziałbym, niby tak zwane wojenne okopy. I pamiętam, że pewnego razu zostaliśmy, wszyscy mieszkający, wyciągnięci z tych piwnic.

Ale gdzie były te piwnice?

Te piwnice były od strony dziedzińców tej ogromnej kamienicy. Były dwa, z prawej i z lewej strony, w kilku miejscach, wejścia do piwnic, które kiedyś były składami towarów, win czy czegoś innego, a później służyły mieszkańcom po prostu jako podręczne magazyny. W czasie wojny to się przeistoczyło w schron i ucieczkę przed bombardowaniem. Pewnego razu myśmy wszyscy zostali wywołani stamtąd i ustawieni pod murem, bo okazało się, że ktoś z dachu naszej kamienicy strzelał do żołnierzy. Stanęliśmy pod murem i wszedł żołnierz sowiecki, bo to było po zajęciu Lwowa przez sowieków, i żołnierz sowiecki zapytał – „Kto strzelał?”. Bezbronni ludzie – właściwie, kobiety i dzieci – zostały ustawione pod tym murem. Właściwie, ja nie zdawałem sobie sprawy z tego, że on nam grozi, że on nas może wszystkich rozstrzelać. Ale okazało się, że człowieka, który strzelał z tego dachu, gdzieś prawdopodobnie ujęto i zostaliśmy prawnieni, a później kazali nam zejść z powrotem do schronu. Dopiero teraz sobie uświadomiłem, kiedy przypuścimy, ogląda się filmy z czasów wojny, jak odbywały się te egzekucje cywilnej ludności. Teraz dopiero można to sobie uświadomić, wtedy po prostu nie zdawaliśmy sobie sprawy, czym to wszystko mogło się zakończyć. Ponure czasy przeżyłem, jak to się mówi, i początek drugiej wojny, i koniec drugiej wojny światowej, czy tak zwane 'zwycięstwo' które przeżyłem również we Lwowie.

Przypomniałam sobie moment jak kiedyś staliśmy na tym podwórku z Panem, kiedy już rozpoczęła się inwazja rosyjska na Ukrainę, na początku tej wojny. Były tam uchylone drzwi i przygotowany schron w piwnicy, czyli do dziś służy on jako schron. Pan wspominał właśnie te czasy, kiedy był małym chłopczykiem.

Tak, zaczęło się od wojny i teraz wracamy jakby do czasów, powiedziałbym, trudnych, zaś rola tych podziemi gmachu Skarbkowskiego wraca do swojej wojennej historii.

Bardzo Panu serdecznie dziękuję za opowieść o tych zakamarkach wspomnień z dzieciństwa.

Nowe przejście graniczne Nizankowice – Malhowice

21 grudnia ruszyły odprawy na nowym przejściu granicznym Nizankowice – Malhowice – już dziewiątym na granicy ukraińsko-polskiej. Budowa obiektu trwała trzy lata i kosztowała 145 mln złotych. Szacowana przepustowość przejścia to 7 000 podróżnych i 4 000 pojazdów na dobę. Uroczystości przewodniczyli przedstawiciele polskiego i ukraińskiego rządu: Tomasz Siemoniak, minister Spraw Wewnętrznych i Administracji, Serhiy Derkach, wiceminister ds. rozwoju wspólnot terytoriów Ukrainy, Teresa Kubas-Hul, wojewoda Podkarpacki oraz Maksym Kozycki, przewodniczący Lwowskiej Obwodowej Administracji Wojskowej.

KONSTANTY CZAWAGA
TEKST
IHOR REWAGA
ZDJĘCIA

W rozmowie z dziennikarzami Maksym Kozycki powiedział:

– Ogromne podziękowania przede wszystkim dla strony polskiej i polskiego rządu. W tak krótkim czasie otworzył nowy punkt odpraw było bardzo trudno. Ogromne podziękowania za to, że polska strona stała się nam naprzeciw, a nawet niedokończony punkt odpraw działał dla transportu humanitarnego, co było niezwykle ważne. Wielkie podziękowania dla Polski za to, że jest prawdziwym przyjacielem i sąsiadem, z którym można budować europejską przyszłość. Kiedy mówimy o tym punkcie odpraw, to mówimy o połączeniu z Unią Europejską. To możliwość przekraczania granicy przez ludzi, transport towarów, a także szansa na rozwój regionu.

Swoimi refleksjami podzielił się w wywiadzie dla „Nowego Kuriera Galicyjskiego” Piotr Pilch, wicemarszałek województwa podkarpackiego:

– Tych osób, które zabiegały o to, żeby tutaj, w tym miejscu Malhowice – Nizankowice powstało nowe przejście graniczne pomiędzy Polską a Ukrainą było wiele i tych działań, trzeba powiedzieć, które początkowały to przejście, było sporo. Warto choćby wspomnieć o tym, że przez kilka lat odbywały się tu Dni Dobrosąsiedztwa organizowane przez starostę Pączka, ale też i przez odpowiedników ze strony ukraińskiej. Tutaj przekraczaliśmy wtedy granicę. Tutaj były postawione tymczasowe namioty i przez trzy dni, przez weekend można było przejść przez tę granicę. Ale też i wiele akcji społecznych, przejazdów linią kolejową tutaj obok. Tych działań było wiele, ale tak naprawdę formalnie to się zaczęło w roku 2017, gdy wojewodą była Ewa Lenart, a ja miałem przyjemność być wicewojewodą. Te pierwsze pisma do rządu o konieczności utworzenia tego przejścia granicznego były podejmowane wówczas w urzędzie wojewódzkim i zostały zainicjowane. Pilotowaliśmy to od samego początku. Ważne były noty dyplomatyczne, wymiana not



dyplomatycznych o utworzeniu tego przejścia. Wiadomo było, że to przejście będzie drogowe, do trzech i półtony, ale też zostało zabezpieczone przejście pod przyszłe przejście pieszo-rowerowe. I mam nadzieję, że ono też powstanie. Teren jest zabezpieczony, plac jest, tak że tych działań podejmowanych było bardzo wiele. Oczywiście kontynuowanych przez obecną władzę. To trzeba powiedzieć, że współdziałanie i współpraca wielu osób, wielu urzędów doprowadziła do dzisiejszego dnia. Chciałbym jeszcze powiedzieć, że droga, która prowadzi do tego przejścia granicznego jest drogą wojewódzką. Myśmy kilka lat temu właśnie pod to przejście drogowe ją wyremontowali. Duże środki, 35 milionów pozyskaliśmy z naszych środków i dzięki temu jest dogodny dojazd. Przebudowana droga, przebudowane mosty. Kilka pasów dojazdowych do przejścia. To wszystko utworzyło infrastrukturę towarzyszącą w tym miejscu. Utworzenie tego przejścia ma kolosalne znaczenie dla Przemyśla, dla powiatu, dla tego regionu. Z jednej strony są to faktyczne miejsca pracy w służbach mundurowych celników i pograniczników. Cała obsługa. Tutaj będzie zatrudnionych kilkaset osób i to będzie jeden z większych zakładów pracy. Druga rzecz, że to będą dość dobrze wynagradzani pracownicy. Będą to stałe miejsca pracy. To jest też bardzo ważne, że nie będzie groźby, że ktoś zakład nagle zamknie albo koniunktura się zmieni. Z drugiej strony wiemy, że Medyka jest zakorkowana. Wiemy, że ciągle trzeba tam długo stać, żeby przekroczyć granicę. To na pewno odciąży Medykę, ale też otworzy nas na tę południową część obwodu lwowskiego, na stronę Iwano-Frankiwka,

Tarnopola, Truskawca, Sambora bardzo blisko położonego. I w stronę też pięknych Karpat ukraińskich. Wysokich, wyższych niż nasze Bieszczady. To wszystko będzie impulsem rozwoju gospodarczego, bo na to liczymy. Na pewno powstaną tu centra handlowe, sklepy, punkty wymiany walut. I to będzie kolejne kilkaset miejsc pracy, które przy takim miejscu będą tworzone. A z drugiej strony to turystyka. Liczymy, że po wojnie, która mam nadzieję szybko się zakończy, będzie możliwość otwarcia tego punktu turystycznego. I czekamy na przejście kolejowe. To jest też ważne, bo infrastruktura kolejowa jest przygotowana. Linia kolejowa zarówno po polskiej, jak i po ukraińskiej stronie została wyremontowana. Czekamy na wymianę not dyplomatycznych. Jeszcze są na pewno jakieś poprawki. Jeszcze droga dojazdu by się przydała. Ale to jest kwestia może kilku miesięcy, żeby i to przejście kolejowe zaczęło funkcjonować – stwierdził Piotr Pilch.

W ciągu wielu lat na otwarcie tego przejścia czekali mieszkańcy przygranicznych terenów w obwodzie lwowskim.

– To naprawdę historyczne wydarzenie – zaznaczyła w naszej rozmowie Tetiana Terlecka, wiceprzewodnicząca Dobromilskiej Wspólnoty Terytorialnej. – O otwarciu tego przejścia mówiono bardzo długo. Od marzenia do rzeczywistego rezultatu minęło chyba dwadzieścia lat. Cieszy mnie, że przed świętami Bożego Narodzenia marzenia stają się rzeczywistością. To swoisty świąteczny prezent dla Dobromilskiej Wspólnoty Terytorialnej. Wszyscy wiemy, że kiedyś była tu żelazna kurtyna, druty, a teren był zdegradowany. Wciąż odczuwamy skutki tej depresji. Jednak w naszej

strategii rozwoju uznaliśmy, że nasze przygraniczne położenie to szansa dla naszej wspólnoty. Jednym z naszych strategicznych celów jest uczynienie z Dobromilskiej bramy Europy do Ukrainy. Nie Ukrainy do Europy, ale odwrotnie.

Podczas oficjalnego otwarcia nowego przejścia polskie służby mundurowe zaprezentowały swój nowy sprzęt i osiągnięcia w swojej pracy. Wydarzenie zaszczylił swoją obecnością dyplomaci dwóch krajów.

– To przejście jest jednym z najnowocześniejszych, jeśli nie najnowocześniejsze na granicy polsko-ukraińskiej – powiedział dla „Nowego Kuriera Galicyjskiego” Piotr Łukasiewicz, chargé d'affaires Ambasady RP w Kijowie:

– Operowane będzie, obstawiane, będą współdziałali celnicy, urzędy skarbowe, straże graniczne Polski i Ukrainy wspólnie, po polskiej stronie. Bardzo nowoczesne przejście, które będzie służyło przede wszystkim podróżującym małymi busami, autokarami również w przyszłości. To sprawi, że ruch z Ukrainy do Polski, z Polski do Ukrainy będzie szybszy. Im więcej przejść, zwłaszcza w czasie, kiedy jeszcze nie można przemieszczać się samolotami, tym więcej ułatwień niezwykle potrzebnych dla ludzi, którzy potrzebują przyjechać do Polski, potrzebują również przyjechać w różnych celach do Ukrainy. Więc można się tylko cieszyć i wyrażać wielkie zadowolenie, że takich mniejszych przejść powstaje coraz więcej. Że są bardzo nowoczesne, co znaczy, że odprawy będą szybsze. To jest wydarzenie, które cieszy serce i dyplomaty polskiego w Kijowie, i dyptomatów ukraińskich w Polsce na pewno też, ale przede wszystkim podróżnych, którym naprawdę będzie łatwiej. Zwłaszcza, że obie strony, polska i ukraińska postarały się o dobrą jakość drogi dojazdowej po obu stronach granicy, co jest też bardzo ważne, żeby sprawnie ten ruch przebiegał. Chciałbym uczestniczyć w jeszcze kilku takich spotkaniach, mam nadzieję w przyszłości. To jest podsumowanie naprawdę bardzo, bardzo dobrego tygodnia w relacjach polsko-ukraińskich – podkreślił polski dyplomata.

W pierwszym polskim samochodzie, który przekroczył przejście w Malhowicach – Nizankowicach, znajdował się „święty Mikołaj”, który przywiózł prezenty



MAKSYM KOZYCKI



PIOTR PILCH



PIOTR ŁUKASIEWICZ

dla polskich dzieci w Nizankowicach. Maluchy powitały go piosenkami, a następnie, wspólnie z rodzicami, zaprosiły go do świetlicy Towarzystwa Kultury Polskiej.

– Dzisiaj mamy tak piękny uroczysty dzień w Nizankowicach, bo było otwarcie przejścia granicznego i jako pierwszy granicę przekroczył nasz „Mikołaj” z linii 102, z Przemyśla – wyjaśniła Irena Wojtowicz, prezes Towarzystwa. – „św. Mikołaj” przyjechał do Nizankowic już po raz ósmy. Zawsze czekaliśmy na tego „Mikołaja”, który nigdy nie znał granic, a dzisiaj ta granica została otwarta, więc dzieci bardzo się cieszą. My, jako Towarzystwo Kultury Polskiej, też jesteśmy zaszczyceni, szczęśliwi, że wreszcie ten dzień nastąpił.

– Dla dzieci to jest wielka niespodzianka. Jesteśmy bardzo wdzięczni, że Towarzystwo Kultury Polskiej w Nizankowicach tak pomaga naszym dzieciom – zaznaczyła w imieniu rodziców Natalia Jacyna. Dzieci zawsze czekają na „Mikołaja”. To dla nich wielkie święto, na jakie czekają cały rok. Może nawet nie tak czekają na Boże Narodzenie, jak na „Mikołaja”.

Doroczną akcją „Mikołaj bez granic” organizują pasjonaci kolei ze Stowarzyszenia linia102.pl w Przemyślu, którzy opiekują się także dziećmi mieszkającymi wzdłuż linii kolejowej 102 po stronie ukraińskiej. Wcześniej „święty Mikołaj” z darami przyjeżdżał do Nizankowic w drzynie, co wiązało się z otwarciem bramy na wciąż nieczynnym przejściu kolejowym.

Wywiadu dla „Kuriera” udzielił też „Mikołaj bez granic”:

– Długo czekałem, aż wreszcie do was przyjechałem. Przyjechałem do dzieci z Nizankowic, do Towarzystwa Kultury Polskiej w Nizankowicach. Staraliśmy się tyle lat, żeby ta granica była otwarta. Wreszcie ją otworzyli. Będziemy wspomagać i dzieci, i mieszkańców Nizankowic oraz Ukrainy. Dziękuję serdecznie za zaproszenie. Życzę 102 lat w zdrowiu, w szczęściu. Wszystkiego najlepszego!

Pod wieczór w kierunku nowego przejścia granicznego ruszyły samochody osobowe, busy oraz autokary z podróżującymi.

Literacki Stanisławów

Ciekawe historie z książek przebiegają w różnych miastach. Wystarczy wspomnieć chociażby „Katedrę Notre Dame” Hugo czy „Newski prospekt” Gogola lub „Opowieści odeskie” Babela. Czy obecny jest Stanisławów na kartach światowej literatury? Możemy dumnie powiedzieć: Jest! Chociaż bardziej prawidłowo by można określić – „znalazł się tam”.

IWAN BONDAREW

Msza za pułkownika

Henryk Sienkiewicz uważany jest za jednego z najlepszych polskich pisarzy. Spod jego pióra wyszła słynna trylogia „Ogniem i mieczem”, „Potop” i „Pan Wołodyjowski”. W ostatnich latach te trzy utwory zostały zekranizowane przez Jerzego Hoffmana i filmy od razu stały się klasyką polskiej kinematografii.

Powieści opowiadają o wydarzeniach w Rzeczypospolitej w XVII w. – od powstania Bohdana Chmielnickiego do rozgromu wojsk tureckich pod Chocimiem w 1673 r.

Ale uwagę poświęcimy przede wszystkim „Panu Wołodyjowskiemu”. W powieści opisane są wydarzenia wojny polsko-tureckiej 1672–1673 r. Główna akcja toczy się podczas obrony Kamieńca Podolskiego. Autor prowadzi analogię do obrony legendarnej Troi. Siły były nierówne i forteca padła. Aby nie trafić do rąk wroga, ostatni obrońcy, opuszczając fortecę, wysadzili prochy. Pod ułamkami baszty prochowej zginął pan Wołodyjowski – pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej. Tu oddajemy słowo Sienkiewiczowi:

„W kolegiacie stanisławowskiej stał na środku kościoła wysoki katafalk rzęsiście obstawiony świecami, a na nim leżał w dwóch trumnach, ołowianej i drewnianej, pan Wołodyjowski. Wieka były już zabite i właśnie odprawiano pogrzeb. Życzeniem serdecznym wdowy było, by ciało spoczęło w Chreptowie, lecz że całe Podole było w rękach nieprzyjacielskich, więc tymczasowo miano je pochować w Stanisławowie, do tego bowiem miasta odesłani zostali pod konwojem tureckim kamienieccy exiles i tu wydani w ręce wojsk hetmańskich.

Wszystkie dwony były w kolegiacie. Kościół wypełniony był tłumem szlachty i żołnierzy, którzy ostatni raz chcieli rzucić okiem na trumnę Hektora Kamienieckiego i pierwszego Rzeczypospolitej kawalera. Szeptano, że sam hetman ma na pogrzeb przyjechać, że jednak nie było go dotąd widać, a lada chwila mogli nadejść czambułem Tatarzy, przeto postanowiono nie odkładać ceremonii” wolnelektury.pl.



POWIEŚĆ „DWAJ KAPITANOWIE” W ZSRR TRAFIŁA DO ZŁOTEJ KOLEKЦИИ POWIEŚCI PRZYGODOWEJ

Dalej następuje opis mszy pogrzebowej, której apoteozą stał się przyjazd hetmana wielkiego koronnego – a przyszłego króla – Jana Sobieskiego.

Ta scena tak naprawdę została przez autora całkowicie wymyślona. W tym czasie kolegiatę stanisławowską dopiero zaczęto budować, mieszkańcy zaś korzystali ze skromnej drewnianej świątyni. A i grzebać nie było co – ciało „Hektora kamienieckiego” zostało rozerwane wybuchem. Jego symboliczny grób znajduje się obecnie w Kamieńcu Podolskim.

Kto zamordował panienkę

W latach 1931–1932 w „Kurierze Stanisławowskim” drukowano powieść w odcinkach Piotra Szaryckiego „Po mylnym śladzie”. Przykuła ona uwagę czytelników, którzy niecierpliwie oczekiwali kolejnego odcinka. Treść była niezwykle frapująca: Władysław Przybylski wraca do domu ciemną i bezludną ulicą Gołuchowskiego (ob. Czornowola), leżącą już na obrzeżach miasta. Nagle słyszy krzyk kobiety. Wyciąga z kieszeni rewolwer (w Polsce wolno było posiadać broń) i śpieszy na ratunek. W ciemności trafia na ciało młodej kobiety. Mężczyzna stara się jej pomóc, ale po nieudanych próbach ratunku śpieszy na poszukiwanie telefonu, by wezwać lekarza. Tu zostaje zatrzymany przez policję – z bronią i zakrwawionymi rękoma. Przybylski zostaje

natychmiast aresztowany i osadzony w więzieniu. Śledztwo przejmuje doświadczony komisarz policji.

Z czytelników „Kuriera” mało kto orientował się, że pod pseudonimem „Szarycki” ukrywa się dwudziestolletnia Marcelina Grabowska. Niektórzy uważają ją za pierwszą w Polsce kobietę – autorkę kryminałów. Później wstawi się ona – już pod swoim nazwiskiem – jako utalentowana pisarka i dramaturg. W czasie wojny współpracowała z podziemiem, walczyła w Powstaniu Warszawskim, została ranna i po wojnie udekorowana Złotym Krzyżem Zasługi.

Według mnie, powieść nadaje się do czytania i można by ją przetłumaczyć na język ukraiński.

Dziewczeta z pociągu sanitarnego

Kilka pokoleń radzieckich czytelników wychowało się na powieści Weniamina Kawerina „Dwa Kapitanowie”. Powieść wydawana była setki razy, dwukrotnie ekranizowana, a sam autor nagrodzony został Stalinską premią w 1946 roku. Powieść nie utraciła aktualności i dziś. Według niej powstał znany musical „Nord-Ost”. Podczas jego przedstawienia w 2002 r. czeczeńscy terroryści wzięli widzów jako zakładników. W czasie niedbale splanowanej operacji antyterrorystycznej zginęło 130 z nich i prawie wszyscy terroryści.



STANISŁAWOWSKI SĄD - JEDNO Z MIEJSC, GDZIE ROZGRYWA SIĘ POWIEŚĆ „PO MYLNYM ŚLADZIE”



OKŁADKA POWIEŚCI HENRYKA SIENKIEWICZA „PAN WOŁODYJOWSKI”



PISARKA IRENA WILDE PRZEZ PIĘĆ LAT MIESZKAŁA I UCZYŁA SIĘ W STANISŁAWOWIE

Wróćmy do powieści. W ósmej części powieści mamy rozdział „Dziewczeta ze Stanisława”. Opowiada główny bohater – wojskowy pilot Sania Grigoriew. Ciężko ranny, wraz z innymi żołnierzami Armii Czerwonej, zostaje ewakuowany pociągiem sanitarnym. Na jakiejś stacji zaczęła się jakaś rozróżba i wówczas pojawiają się one...

„Nagle w tłumie pojawiły się dwie dziewczyny ubrane po cywilnemu. One nawet nie nikomu nie robiły, jedynie coś szybko powiedziały jednemu, drugiemu – śpiewnie po ukraińsku – i ranni w milczeniu rzeszli się po wagonach.

Były to studentki technikum pedagogicznego w Stanisławie – obie duże, czarne, z niskimi brwiami, z niskimi głosami i nadzwyczaj „domowe”, nie bacząc na swe zdecydowanie i silny wygląd. Dołączywszy się do nas, wydobyły wodę i opiekuńczo rozdawali ją, po kubeczku na brata. Przyniosły skądś nie wiadomo co – koszyk kaliny,

ale przyjemnie było kosztować cierpkie jagody – jak one odświeżały!

Dlatego z pośród tysięcy osób, które przewinęły się przede mną w te dni, zatrzymałem swoją uwagę na tych dziewczynach, o których nic nie wiem, oprócz tego, że jedna z nich nazywała się Katia!”

Dalej historia rozwija się tragicznie. Pociąg atakują niemieckie czołgi, które przerwały front. Faszyci z zimną krwią rozstrzelują pociąg. Grigoriew miał szczęście, że uratował się, ale obie dziewczyny zginęły.

Powieść napisana jest bardzo dobrze, ale co do jednego Kawerin się pomylił – w Stanisławie nie było technikum pedagogicznego, lecz instytut nauczycielski otwarty w 1940 r.

Prawie Romeo i Julia

„Mieszkamy w Stanisławie przy ul. Kowalskiej. Powiadają, że dawno temu, tam gdzie leży ta uliczka, była niewielka rzeczka, a potem były cechy kowali. Stąd niby wzięła się jej nazwa. Bardzo możliwe. Dziś na całej Kowalskiej nie ma żadnego kowala.

Mój ojciec jest starszym kontrolerem na kolei. Pod nr 8 mieszkają dwie siostry krawczynie. Pod 11 mieszka rodzina emerytowanego nauczyciela. Dziwne to i trochę śmieszne (choć matka uważa wszystkie rozmowy o tym za plotki): on i ona, czyli ci nauczyciele, to już ludzie starsi, a dzieci mają całkiem małe. Sama początkowo myślałam, że to nie dzieci, a wnuki...”

Tak rozpoczyna swoje opowiadanie z 1947 r. „Ci, z Kowalskiej” Irena Wilde. Pisarka jest naszą rodaczką. Urodziła się w Czerniowcach, uczyła się w stanisławowskim gimnazjum żeńskim, zaś mieszkała i tworzyła we Lwowie. Uważana jest słusznie za klasyka literatury radzieckiej.

W opowieści mowa jest o miłości Ukrainki Marty i Polaka Kazimierza. Wydarzenia rozwijają się w przededniu II wojny światowej. Społeczeństwo potępia młodych zakochanych. Ukraińcy uważają Martę za zdrażczynię i ogłaszają jej bojkot. Rodzice Kazimierza też nie są zachwyceni z synowej nie-katoliczki. Przeżywszy mnóstwo przygód i poniewierki, zakochani nareszcie odnajdują swe szczęście. W tym, w znacznej mierze sprzyja im sowiecka agresja.



UL. KOWALSKA DZIŚ

ZDJEŃCIE ZE ZRÓDEŁ INTERNETOWYCH

ZDJEŃCIE AUTORA

Kardynał Marian Franciszek Jaworski i jego przyjaźń z papieżem Janem Pawłem II (cz. 2)

Arcybiskupa Eugeniusza Baziaka papież Jan Paweł II przypomniał 9 sierpnia 1987 roku z racji 25. rocznicy jego śmierci. Wówczas w liście do biskupa Mariana tak pisał: „Minęła w dniu 15 czerwca dwudziestopięcioletnia rocznica śmierci śp. arcybiskupa Eugeniusza Baziaka, metropolity lwowskiego. Opatrzność Boża zrzędziła, iż byłem bardzo blisko związany z osobą Zmarłego. Z jego rąk otrzymałem sakrę biskupią w katedrze na Wawelu, w dniu 28 września 1958 r. – i aż do śmierci byłem najbliższym jego współpracownikiem w biskupim posługiwaniu Kościołowi Krakowskiemu, któremu zmarły metropolita lwowski opatrnościowo pasterzował w latach od 1951 do 1962. Jestem świadom tego, jak wiele mu zawdzięczam.

MARIAN SKOWYRA

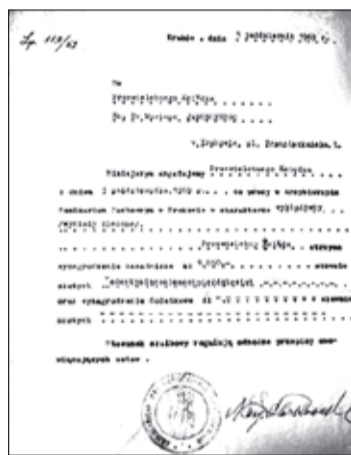
Pragnę dać temu żywe świadectwo, w szczególności podczas Kongresu Eucharystycznego w Lubaczowie, gdzie cała archidiecezja skupi się wokół postaci tego wielkiego męża, który służył Kościołowi i Ojczyźnie, nie szczędząc siebie, i obejmując – w jedności z Matką Bolesną – zesłany Mu ciężki krzyż pasterski jako znak nadziei, która nie zawodzi”.

Świadectwo o abpie Eugeniuszu Baziaku papież Jan Paweł II złożył również w czasie pobytu w Lubaczowie, gdy odwiedził prokatedrę pw. bł. Jakuba Strzemię: „Z wielkim wzruszeniem staję w ten niedzielny czwarty wieczór w progach prokatedry w Lubaczowie! Wzruszenie to pochodzi również z motywów osobistych – i pozwólcie, że na przód temu dam wyraz. Po raz pierwszy byłem tutaj w dniu 21 września 1958 roku, uczestnicząc w srebrnym jubileuszu sakry śp. abpa Eugeniusza Baziaka metropolity lwowskiego. Ja sam zaciągnąłem wobec metropolity lwowskiego ogromny dług. Dane mi było po owym spotkaniu w lubaczowskiej prokatedrze, przyjąć z jego rąk święcenia biskupie w katedrze na Wawelu, aby jako biskup, wspomagać pasterską posługą arcybiskupa Eugeniusza aż do jego śmierci w czerwcu 1962 roku”.

Osobny list papież skierował do biskupa Mariana Jaworskiego w 1990 roku w związku z uroczystościami w archidiecezji poświęconymi obchodom



LEGITYMACJA KS. PROF. MARIANA JAWORSKIEGO



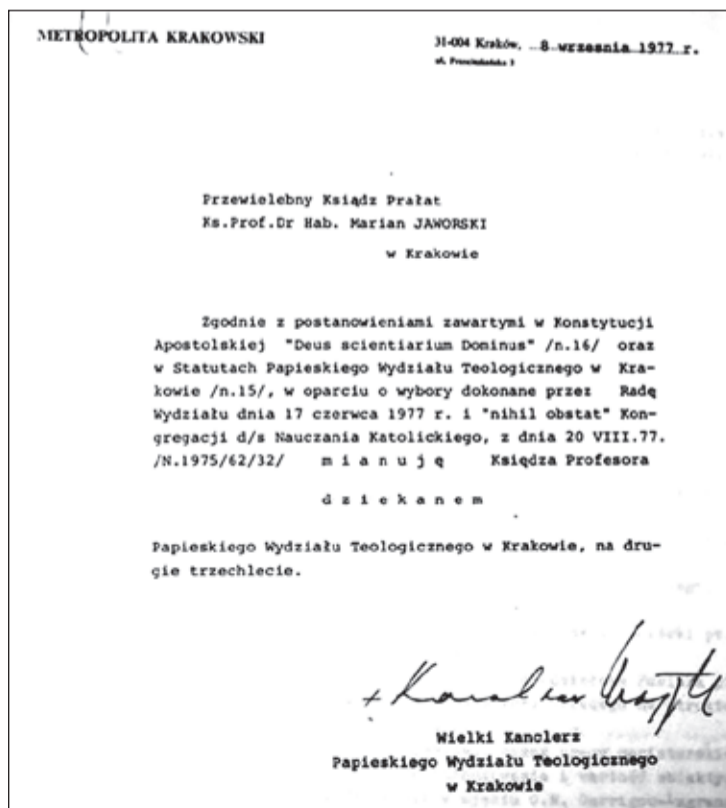
NOMINACJA NA WYKŁADOWCĘ KRAKOWSKIEGO SEMINARIUM

200 lat beatyfikacji bł. Jakuba Strzemię. W tym liście „biskupowi, obecnemu stróżowi tego dziedzictwa, i wszystkim, którym jest ono drogim, a także współbraciom błogostawionego Jakuba, ojcom franciszkanom oraz wszystkim uczestnikom jubileuszowej modlitwy i medytacji błogostawię z całego serca”.

Przyjaciel na stolicy arcybiskupów lwowskich

Papież Jan Paweł II w 1991 roku, gdy nadarzyła się ku temu stosowna okazja, postanowił

zamianować jako pierwszego po wojnie arcybiskupa dla archidiecezji lwowskiej swojego przyjaciela Mariana Jaworskiego, któremu ufam, że zdoła pokonać wszystkie stojące przed nim zadania. Ze wszystkich zaś sukcesów i trudności arcybiskup zdawał sprawozdanie w formie ustnej lub pisemnej papieżowi Janowi Pawłowi II. Papież 4 lipca 1993 roku odpowiedział na jeden z takich listów: „Bóg zapłać za list z 19.VI i wszystkie załączniki. Bardzo ważna dokumentacja. Przekazuję ją do Sekretariatu Stanu – via sekcja polska. Wydarzenia ostatniego okresu zasługują na to, abyśmy o nich szczegółowiej porozmawiali przy najbliższej sposobności. W każdym razie są one doniosłe. Widać też, jakie znaczenie ma działalność Kościoła, a w szczególności arcybiskupa, który we Lwowie jest następcą bł. Jakuba i S[ługi] B[ożego] Arcybiskupa Józefa [Bilczewskiego]. Codziennie jego osobą i ten Kościół im polecam. Proszę, aby – w nowych, jakże odmiennych warunkach, była z drogiem metropolitą Marianem ta sama – co z poprzednikami – łaska biskupiego posłannictwa”.



KS. MARIAN JAWORSKI MIANOWANY PRZEZ KARD. WOJTYŁĘ DZIEKANEM PWT W KRAKOWIE



Również z racji liturgicznego wspomnienia bł. Jakuba Strzemię w 1993 roku z Watykanu przyszło pozdrowienie od papieża: „Drogi Marianie! Niech pierwszy pasterz na katedrze Kościoła we Lwowie wspiera i błogostawi swego współczesnego następcę. Proszę go o to codziennie tak, jak proszę i Stugę Bożego Józefa Bilczewskiego”.

Papież doskonale znał wszelkie trudności i zmagania, przed którymi staje we Lwowie arcybiskup Marian Jaworski, z tej też racji w 1993 roku po kolejnym sprawozdaniu arcybiskupa o sytuacji we Lwowie i archidiecezji papież pisał w liście do arcybiskupa lwowskiego: „Ufam, że podczas wakacji (pobyt w Castel Gandolfo) będzie można szczegółowo porozmawiać o wszystkim – załączone teksty stanowią niejako *va de mecum* dla tych rozmów. Służą one także dla Sekretariatu Stanu. Głęboko odczuwam, jak bardzo potrzebna jest pomoc Matki Kościoła na dalszym etapie (po r. 1989). Nie przestaję o to modlić się i ufam”.

Zachował się list arcybiskupa Mariana Jaworskiego do papieża Jana Pawła II z 17 lipca 1996 roku, w którym relacjonował o następujących faktach: „Umiłowany Ojciec Święty! Bardzo dziękuję za ostatni pobyt i za wszystko dobro. Wróciłem do Lwowa, bo czas jest bardzo trudny. Trwają zmagania o księży. Gdy chodzi o województwo lwowskie, decyzja ma zapaść w przyszłym tygodniu. Księży są zaniepokojeni, co będzie, ale robią, co mogą, zwłaszcza teraz, gdy chodzi o organizację oaz.

Mamy obecnie przedstawicieli z *Renovabis*, którzy zaznajamiają się z naszą sytuacją kościelną i projektami restauracji budynków seminaryjnych. Potem zdecydują o pomocy dla nas. To też wymaga dużo zaangażowania”.

Wyjątkowy charakter miał list kardynała Mariana Jaworskiego do papieża Jana Pawła II z 1 lipca 2001 roku, w którym dziękował za jego wizytę apostolską na Ukrainie: „W imieniu Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego na Ukrainie pragnę wyrazić głęboką wdzięczność za pełną ofiary wizytę apostolską. Umocniła ona nasz Kościół tak bardzo doświadczony od początku II wojny światowej.

Kościół nasz, który zdawało się – został już całkowicie zniszczony, dzięki Opatrzności Bożej i Twojej postudze Piotrowej został na nowo wskrzeszony, a teraz nabrał mocy. Z ufnością pragniemy podjąć pogłębienie naszego życia z wiary, idąc za Twoimi wskazaniami.

Serca naszych wiernych przepiętne są czcią i miłością dla Piotra naszych czasów. Ale nie tylko oni dziękują Bogu za dar spotkania się z Tobą. Zawsz słyszysz się od ludzi, którzy składają się poza Kościołem i znajomością Boga; jak spotkanie z Ojcem Świętym stanowiło dla nich znaczące wydarzenie życia. Było to dla nich niewątpliwie pierwsze doświadczenie w kierunku pełnej rzeczywistości Boga i Pana Świata.

Wszyscy u nas rozumieją coraz lepiej, czym jest posługa Piotrowa dla Kościoła i świata. Będziemy nadal modlili się, aby Bóg wspierał Twoje Ojczyzny zdrowie i siły w służbie ludowi Bożemu. Pragnę również podziękować za wsparcie materialne na rzecz naszego Kościoła i seminarium”.

Papież Jan Paweł II do końca życia obok spraw ogólnych archidiecezji lwowskiej, interesował się również sprawami rozwoju lwowskiego seminarium, o którym tak pisał 25 lutego 2003 roku: „Cieszę się, że seminarium może rozwijać swoją działalność. Daj Boże, aby miało zawsze licznych mieszkańców”.

Dziękuję za list i za ufność, z jaką ksiądz kardynał patrzy w przyszłość, powierzając Matce Najświętszej wszelkie udzięki. Życzę serdecznie, aby wszystkie te sprawy zmierzały do pomyślnego rozwiązania według Bożych zamierów”.

Prawdziwe i autorytatywne potwierdzenie wieloletniej przyjaźni kardynała Mariana Jaworskiego i papieża Jana Pawła II oddaje wspomniany już list papieża skierowany do arcybiskupa Mariana Jaworskiego 24 maja 2000 roku z racji jubileuszu 50-lecia święceń kapłańskich. W niniejszym liście papież pisał: „Od długiego już czasu, co więcej, od samej młodości, Ciebie Czcigodny Bracie, uważam za wiernego przyjaciela, uznając twój głęboki duchowy styl życia, wyjątkową erudycję w dziedzinie filozoficznej i teologicznej

oraz całkowite powierzenie siebie woli Bożej. Z radością, zatem myślę teraz o złotym jubileuszu twoich święceń kapłańskich i bardzo chętnie posyłam ci ten list, aby przypomnieć szczególne wydarzenia twojego życia i przedsięwzięcia działalności duszpasterskiej, otaczając cię moją miłością i przesyłając ci najlepsze życzenia.

Wspominam najpierw twoje studia filozoficzne i teologiczne w seminarium lwowskim w Kalwarii Zebrzydowskiej, na terenie drogiej archidiecezji krakowskiej. Po święceniach kapłańskich, otrzymanych przed pięćdziesięciu laty w dniu 25 czerwca, bardzo gorliwie spełniałeś posługę duszpasterską w parafiach, a następnie pogłębiałeś swoją formację humanistyczną i teologiczną w Krakowie, Lublinie i Warszawie, rozważając Słowo Boże i studiując dzieła filozoficzne. Po ukończeniu studiów z doskonałymi wynikami poświadczyłeś swe wyjątkowe zdolności ludziom młodym na różnych uczelniach wyższych, ucząc ich wiedzy o sprawach Bożych mądrości życiowej. Przez wiele lat pełniłeś obowiązki dziekana, a następnie pierwszego rektora Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie.

W owym czasie wspierałeś mnie w dziele odnowienia i organizacji fakultetów teologicznych w całej Polsce. Następnie dokonałeś starań o ich publiczne uznanie, ponosząc z tego tytułu wyrzeczenia, które były konieczne dla osiągnięcia celu.

W maju 1984 roku zostałeś przeze mnie włączony do przesławnego kolegium Apostołów, ozdobiony tytułem kościoła Lambesi i dany jako administrator apostolski archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego z siedzibą w Lubaczowie, której zarządzanie jako arcybiskup objął w Lwowie w styczniu 1991 roku.

Z radością wspominam wiele twoich inicjatyw na rzecz duchowego postępu powierzonych ci wiernych, doceniając w szczególności twoją troskę o głoszenie Ewangelii, utworzenie seminarium, wspieranie powołań kapłańskich, kształcenie duchowieństwa, remonty i budowę świątyń. Ważną inicjatywą było przeprowadzenie synodu dla archidiecezji lwowskiej i diecezji łuckiej, by odnowić życie religijne w duchu Soboru Watykańskiego II.

Cieszę się bardzo, że napisałeś i wydałeś bardzo wartościowe książki, propagujesz naukę i kulturę katolicką, roztropnie oraz gorliwie współpracujesz z biskupami polskimi i ukraińskimi. Wiem również, że jako syn tamtejszej ziemi, następca Czcigodnego Brata świętej pamięci Eugeniusza Baziaka, arcybiskupa-wygnańca lwowskiego obrządku łacińskiego, działasz na rzecz pokoju i współpracy różnych środowisk społecznych, rozstawiasz chrześcijańskie imię i gorliwie spełniasz apostolski urząd, wytrwale kierując Kościołem obrządku łacińskiego na ziemi lwowskiej.

Obchodząc radosną rocznicę twojego kapłaństwa, ciesz się Czcigodny Bracie, wewnętrzną ufnością i z głębi duszy wychwalaj Boga, dawcę wszelkiego dobra. Życzę ci, aby ten rocznicowy dzień był dla ciebie radosny i aby duszpasterskie twoje siły umocnione i uszlachetnione tym wspomnieniem, pokrzepiły cię i zachęciły do gorliwej kontynuacji duchowego dzieła.

Na koniec ponownie zapewniam cię o moich uczuciach, upraszając u Pana hojną nagrodę, co poświadczam Apostolskim Błogosławieństwem, którego obficie udzielam Tobie, twojemu biskupowi pomocniczemu, jak też duchowieństwu i wszystkim wiernym twojej archidiecezji".

Negatywne skutki przyjaźni z kardynałem Karolem Wojtyłą

Nie zawsze jednak znajomość z kard. Karolem Wojtyłą, a tym bardziej przyjaźń wiązała się z zaszczytami i uznaniem. Jako przyjaciel Wojtyły ks. prof. Jaworski przez szereg lat był niedowartościowywany, a przez władze państwowe świadomie wypierany poza margines światła nauki. Należy przy tym zauważyć, że temat nosi charakter pionierski i potrzebuje dalszych badań naukowych. Niniejsze opracowanie mogło powstać dzięki kwerendzie materiałów archiwalnych, przechowywanych w archiwum krakowskiego IPN oraz opracowaniom na temat kard. Wojtyły, które ukazały się w minionych latach.

Pierwszych niepowodzeń w karierze naukowej ks. Jaworski zaznał jeszcze w drugiej połowie lat 60. XX wieku. Wówczas to ks. prof. Marian Jaworski został zatrudniony jako wykładowca na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Systematyczne wykłady prowadził tam do 1967 roku, a w latach 1967-1976 wykłady na tej uczelni prowadził na stanowisku docenta.

Przy tym należy zauważyć, że przed II wojną światową Kościół katolicki w Polsce posiadał pięć



W TRAKCIE SPOTKAŃ W WATYKANIE

wydziałów teologicznych. Cztery prowadziły swoją działalność dydaktyczno-naukową na uniwersytetach państwowych, a mianowicie w Krakowie, Lwowie, Wilnie i Warszawie. Tylko jeden z nich pozostawał pod wyłączną władzą kościelną – Katolicki Uniwersytet Lubelski. Nadto istniały jeszcze dwa zamknięte wydziały księży jezuitów: filozoficzny – w Krakowie i teologiczny – w Warszawie. Posiadały one cywilną osobowość prawną, niemniej mogli na nich studiować wyłącznie alumni jezuitów. Uzyskane na nich stopnie naukowe i tytuły profesorskie miały jednak wyłącznie walor kanoniczny, a więc nie były uznawane jako takie przez polskie państwo.

Po II wojnie światowej Kościół katolicki utracił dwa wydziały teologiczne poza granicami PRL, mianowicie we Lwowie i Wilnie. Na ziemiach odzyskanych istniał do końca II wojny światowej Wydział Teologiczny na Uniwersytecie Wrocławskim, który wszakże w 1945 roku

poddano likwidacji Wydział Teologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Likwidacji poddano też Wydział Teologiczny Uniwersytetu Warszawskiego. Oba te wydziały zostały przeniesione do nieistniejącej wcześniej Akademii Teologii Katolickiej, która decyzją władz państwowych faktycznie powstała z ich połączenia, bez zgody Stolicy Apostolskiej, z lokalizacją w klasztorze księży mariańców na Bielanych w Warszawie. Uznanie kanoniczne Akademia Teologii Katolickiej ze strony Stolicy Apostolskiej uzyskała dopiero w 1989 roku w związku z uznaniem przez PRL papieskich Wydziałów Teologicznych w Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu i Warszawie.

Na tej Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie pod koniec roku akademickiego 1971/1972 Rada Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej ATK w Warszawie, po zebraniu dwóch opinii i trzech recenzji dotyczącej pracy naukowej ks. prof. Mariana Jaworskiego, wystąpiła do Ministerstwa o nadanie mu tytułu profesora nadzwyczajnego.

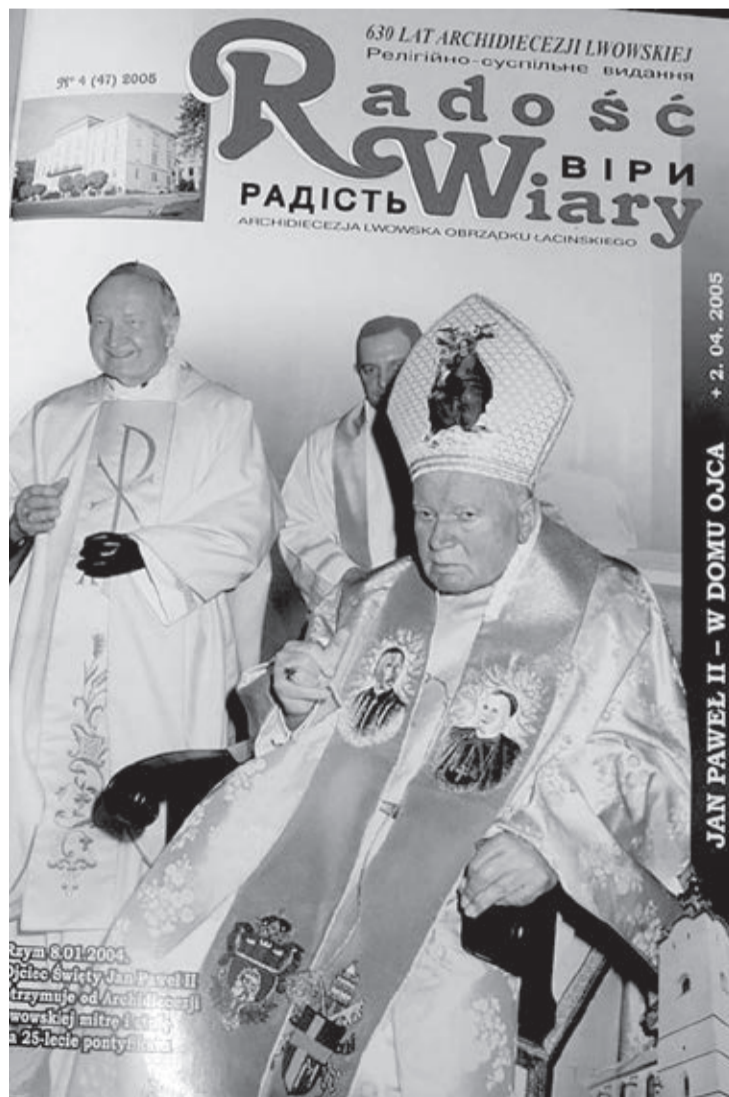
W tym celu jeszcze tego samego roku sporządzono kwestionariusz osobowy kandydata przed promocją na profesora nadzwyczajnego. W niniejszym kwestionariuszu zaznaczono: „Jaworski Marian Franciszek s. Wincentego i Stanisławy Łastawieckiej, urodzony 21 sierpnia 1926 roku we Lwowie, narodowość – polska, obywatelstwo – polskie, pochodzenie społeczne – rzemieślnicze, stan cywilny – wolny. Znajomość języków obcych słaba: rosyjski, francuski, greka. Znajomość języków obcych biegła w mowie i piśmie: niemiecki, ukraiński, łacina”. W następnych latach, mimo licznych prób, sprawa unadzwyczajnienia ks. prof. Jaworskiego nie została sfinalizowana, mimo że Rada Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej kilkakrotnie ponawiała swe starania w tej kwestii. „Mimo aż pięciu pozytywnych opinii wymaganych według przepisów w tamtych latach, dalszego dorobku naukowego, wspomnianych wyżej starań Rady Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej, a także zapytań Przewodniczącego Komisji Episkopatu ds. Nauki Katolickiej J. Em. Kardynała Karola Wojtyły, skierowanych w liście do księdza rektora, sprawa mej nominacji nie ruszyła z miejsca” – pisał ks. Marian Jaworski w liście z 1 października 1976 roku do ks. prof. dra Jana Stępnia rektora ATK w Warszawie.

Kard. Karol Wojtyła również na ręce ks. Jana Stępnia skierował 26 lutego 1974 osobne pismo, w którym pisał: „Wiadomo mi, że pod koniec roku akademickiego 1971/2 Senat Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie postawił sprawę nominacji ks. doc. dra hab. Mariana Jaworskiego na profesora nadzwyczajnego. Nominacja ta znajduje pełne pokrycie w pracy naukowo-dydaktycznej ks. Jaworskiego, w tym bogatym dorobku, który pozwałam sobie zestawiam w załączeniu do niniejszego listu. Dlatego też musi bardzo dziwić dalszy ciąg tej sprawy: oto wszystkie inne nominacje wysunięte przez władze ATK na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej zostały urzeczywistnione i ogłoszone, natomiast nominacja ks. prof. Jaworskiego nie dochodzi do skutku.

Piszę w tej sprawie do księdza rektora, ponieważ – jak księdzu rektorowi wiadomo – ks. prof. M. Jaworski piastuje stanowisko sekretarza komisji ds. Nauki Katolickiej oraz Rady Naukowej Episkopatu Polski, których jestem przewodniczącym. Byłoby rzeczą paradoksalną, gdyby właśnie ta odpowiedzialna funkcja, która służy dobru całej nauki katolickiej w Polsce, miała być przeszkodą w nominacji profesorskiej na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Będę wdzięczny, jeżeli ksiądz rektor przyczyni się do wyjaśnienia tej sprawy i wprowadzenia jej na drogę oczekiwaną i należytej realizacji”. W całość sprawy został włączony ks. prof. Kazimierz Kłósak, który również zabiegał o przyznanie ks. Jaworskiemu unadzwyczajnienia.



RELACJA FOTOGRAFICZNA I PRASOWA Z KATASTROFY KOLEJOWEJ POD DZIAŁDOWEM



OKŁADKA ARCHIDIECEZJALNEGO CZASOPISMA „RADOŚĆ WIARY”, WYDANEGO Z RACJI ŚMIERCI PAPIEŻA JANA PAWŁA II

W poszukiwaniu lwowskich śladów poety Jana Mazura

Wywiad KONSTANTEGO CZAWAGI z DR HAB. ANNA MLEKODAJ, pracownikiem naukowym Akademii Nauk Stosowanych w Nowym Targu, która gościła we Lwowie w poszukiwaniu śladów poety Jana Mazura (1915, Zawoja – 1939 lub 1940, Związek Radziecki).

W encyklopediach polskich znajdziemy jedynie skąpe wzmianki o tym poecie. Skąd zainteresowanie twórczością Jana Mazura?

Od ponad 20 lat zajmuję się gwarową poezją szeroko rozumianego Podhala. Jest to niezwykle interesujące zjawisko, wychodzące często poza kanony myślenia o gwarze. Zwykle utożsamia się ją z mową, do tego mocno ograniczoną doświadczeniem rzeczywistości życia. Długo panowało przekonanie, że gwara nie nadaje się do tego, aby stać się tworzywem poezji. Odmawiano jej nawet stylistycznego zróżnicowania. Dopiero Jerzy Bartmiński, który zajął się analizą tekstów folkloru, wykazał, że istnieje rodzaj ludowego stylu artystycznego, z którym spotykamy się np. w pieśni. Długo jednak nie uznawano prawa gwary do poezji w znaczeniu, w jakim zwykle rozumiemy to pojęcie. Tymczasem przykład Podhala pokazuje, że już w latach dwudziestolecia międzywojennego pojawili się twórcy, którzy świadomie wybierali gwara na językowe tworzywa swoich wierszy. Byli wśród nich ludzie wykształceni, a więc postępujący się biegle zarówno gwara – jako mową pierwszą i domową, jak i polszczyzną literacką. Co więcej – po gwara sięgali poloniści – absolwenci studiów uniwersyteckich, którzy byli w pełni świadomi poetyckiego warsztatu, znali tajniki stylu retorycznego, a przy tym byli utalentowanymi literacko artystami. Do ich – trzeba przyznać dosyć wąskiego grona – należał właśnie Jan Mazur, student Uniwersytetu Jana Kazimierza w latach 1935 (?) – 1939. W 1937 roku wydał we Lwowie, nakładem Książnicy Atlas swój debiutancki tomik pt. „Z wyskokik Tater wiaterny sum”, w którym znajduje się m.in. cykl pt. „Lwowskie tęsknice”. W tym samym roku w Krakowie ukazała się także pierwsza antologia gwarowych wierszy pt. „Poezja młodego Podhala”, do której wstęp napisał prof. Stanisław Pigoń. Jako pierwszy jest w niej prezentowany dość obszerny wybór wierszy Jana Mazura. Trudno więc było go przeoczyć, badając historię literatury regionu. Kiedy w 2006 roku opracowałam antologię poezji Podtatrza, obejmującą dorobek już czterech pokoleń twórców piszących gwara, nadałam jej tytuł „Góralskie serce w zielonym listku pieśni”, który jest bezpośrednim cytatem z jednego z utworów Jana Mazura. Wiem o nim od dawna i od dawna też intryguje mnie zarówno jego tajemnicza postać, jak i nieznan los.

Proszę przybliżyć naszym czytelnikom postać Jana Mazura, który jest powiązany też z Lwowem. W jaki sposób i gdzie Pani poszukiwała materiały o życiu Jana Mazura?



ANNA MLEKODAJ

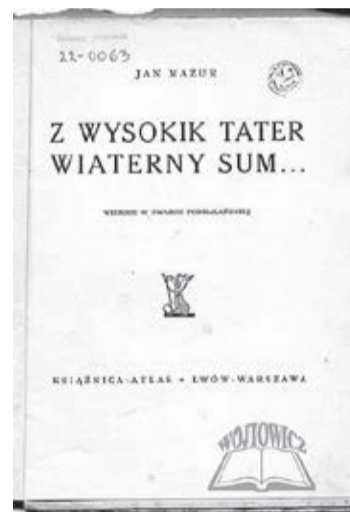
O życiu Jana Mazura wciąż wiemy niewiele. Urodził się 3 lutego 1915 roku w Zawoi – dosyć dużej wsi u stóp Babiej Góry. Los sprawił, że jako mały chłopiec trafił pod opiekę ciotki – księżej gospodyni w Poroninie na Podhalu. Tu nad utalentowanym chłopcem prawdopodobnie roztoczyła opiekę znana z dobroczynności opiekunka sierot i nauczycielka Antonina Tatar z sąsiedniego Suchego. Zapewne to dzięki jej wsparciu Jan mógł podjąć naukę w gimnazjum w Nowym Targu, a następnie został wysłany pod opiekę brata Antoniny – ks. Tatara do Poznania. Początkowo książdź łączył przyszłość Jana z zawodem organisty, skoro jednak przekonał się, że chłopiec ma inne talenty, wystąpił go do braci zmarłych w Lwowie na ul. Piekarskiej prowadzili bursę dla kształcącej się młodzieży. Tam też Jan (a następnie także jego młodszy brat – Stanisław) kontynuował naukę w gimnazjum, by po maturze wstąpić na wydział filologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza, gdzie wybrał polonistykę. Z jedyne go zachowanego listu, pisanego we Lwowie w 1938 roku do ciotki (jak przypuszczam – Antoniny Tatar, ale może też do owej księżej gospodyni) wiadomo, że w czasie studiów doświadczał już pierwszych poetyckich sukcesów. Miewał spotkania autorskie, w czasie których czytał swoją góralską poezję, która – co może, ale nie musi dziwić – bardzo spodobała się jakiejś części lwowiaków, skoro na nie przychodzili. Jan donosi także o zaproszeniu do radia oraz o tym, że do jego wiersza (pt. „Muzyka”) skomponował muzykę pochodzący ze Lwowa prof. krakowskiego konserwatorium Bolesław Wallek-Walewski. W 1938 roku ich współpraca dobrze rokowała. Planowali wspólne przedsięwzięcia artystyczne. Z tego też listu dowiadujemy się, że w kwietniu 1938 roku już w druku była druga książka Jana Mazura. Jak przypuszczam – drugi tomik poezji. Nie wiadomo jednak, które wydawnictwo przyjęło te teksty i czy w ogóle tomik się ukazał. Nie ma go w zbiorach biblioteki uniwersyteckiej, być może jakieś ślady odnajdą się we Wrocławiu. Nie wiadomo także co się stało z samym Janem Mazurem po 1939 roku. Dlatego też wybrałam się do Lwowa na poszukiwania jakichkolwiek śladów po tym utalentowanym poecie. Udało się ustalić, że w grudniu 1939 roku figurował jeszcze na listach studentów wydziału filologicznego zarządzanego już przez sowietów uniwersytetu, ale już w 1940 roku ginie po nim wszelki ślad. Niestety, ze względu na przerwę w działalności archiwum miejskiego na Podwalnej, nie udało

się mi sprawdzić jeszcze wielu tropów. Mam jednak nadzieję, że kiedy to tylko będzie możliwe, wrócę i zbadałam pozostałe wątki. Marzę o tym, aby znaleźć gdzieś fotografię Jana Mazura. Żeby przywrócić mu twarz. Żeby z pewnej idei stał się na powrót człowiekiem. To byłoby niezwykle – móc spojrzeć w jego oczy.

Z ustaleń czynionych za pośrednictwem materiałów dostępnych online wiem, że w konspiracyjnej antologii pt. „Wierne płomienie”, opublikowanej najpierw we Lwowie (1943), a następnie w Londynie (1946), gromadzącej wiersze bezimiennych poetów lwowskich, znalazł się wiersz nadesłany z Kazachstanu przez Marię Blachaczek-Maurową. Skądinąd mam niepotwierdzoną jednak żadnym oficjalnym dokumentem informację, że Jan Mazur ożenił się jeszcze przed wojną, więc może Maria była jego małżonką. Może sama napisała wiersz, a może był to wiersz jej męża? To wszystko są ciągłe pytania, na które należy szukać odpowiedzi. Pobyt we Lwowie pomógł mi zorientować się, gdzie mogłabym je znaleźć. Zawocował także szeregiem bezcennych kontaktów z niezwykle życzliwymi ludźmi, którzy obiecali mi swoją pomoc. Jestem im wszystkim bardzo wdzięczna, kładę przed nimi serdeczne DZIĘKUJĘ, oświadczając zarazem, że nie zawaham się skorzystać z ich uprzejmości, ponieważ Jan Mazur jest wart tego, aby przywrócić mu należne miejsce w historii. Jego osoba łącząca Podhale ze Lwowem jest swoistym fenomenem, a jego młode, pełne nadziei, twórcze życie, przerwane tak dramatycznie i niesprawiedliwie – zasługuje na szacunek.

Dlaczego Jan Mazur używał w swojej twórczości gwary podhalańskiej? Czy on to w jakiś sposób wyjaśniał w swoich listach? Czy poezja Mazura jest ciekawa dla współczesnych mieszkańców Podhala?

Gwara Jana Mazura może zaskakiwać. Urodził się i pierwsze lata swego życia spędził w Zawoi, której mieszkańcy posługują się nieco inną gwara niż podhalańska. Mimo to po przeniesieniu się do Poronina, a później najprawdopodobniej do Suchego przyswoił sobie miejscową gwara w stopniu doskonałym. Świadczy o tym nie tylko jego wiersze, ale także ów zachowany list, napisany z wielką swobodą w najczystszej gwarze podhalańskiej. A to już świadczy o jej głębokim zinternalizowaniu. To znaczy, że czuł, myślał i może nawet śnił gwara. W takich okolicznościach nie ma najmniejszej potrzeby w jakikolwiek sposób uzasadniać wierność gwarowemu słowu w poezji. I Jan



Mazur tego nie czynił. To była dla niego oczywiste.

Poezja gwarowa czy też w ogóle wszelkie artystyczne jej użycie jest zawsze niezwykle ciekawym zjawiskiem dla badaczy, jednak klasyczny dialektolog woli zajmować się gwara jako językiem mówionym. W stylu artystycznym bowiem z samej jego natury użycie gwary jest szczególne i wymaga odmiennego warsztatu badawczego. Oryginalna poezja gwarowa, a do tego twórcza, niemotywowana ludowym doświadczeniem życia, lecz będąca wynikiem pogłębionej refleksji nad światem, wciąż jest zjawiskiem dosyć rzadko spotykanym. Tym cenniejsze są jej wszelkie teksty. Jeśli zaś chodzi o to, czy Podhalańskie interesują się poezją Jana Mazura, odpowiedź na nie dała już Wistawa Szymborska, pisząc w wierszu pt. „Niektórzy lubią poezję”, że: *Niektórzy – czyli nie wszyscy. Nawet nie większość wszystkich, ale mniejszość. Nie licząc szkół, gdzie się musi, i samych poetów, będzie tych osób chyba dwie na tysiąc.*

To samo dotyczy poezji gwarowej na Podhalu. Ale czy to powód, by rezygnować z dobrego poety?

Czy Pani będzie kontynuować poszukiwania w archiwum we Lwowie? (można zaapelować też do czytelników „Nowego Kuriera Galicyjskiego”, może ktoś coś wie?)

Oczywiście. Z ogromną niecierpliwością czekam na możliwość skorzystania ze zbiorów archiwum miasta Lwowa na ul. Podwalnej. Krążyłam koło tego budynku jak wilk wokół zagrody z jagniętami. Choć to może nie jest najlepsze porównanie. Szukam także możliwości pozyskania informacji o wojennych losach Mazura, a może rodziny Jana i Marii Mazurów, z archiwum SBU w Kijowie. Będę także prowadziła poszukiwania w Polsce,

zgodnie z informacjami, które zyskałam w czasie lwowskiej kwerendy. Chciałabym także móc skorzystać z archiwum historycznego, w którym udało się mi przejrzeć wykaz zespołów. Mam wypisane sygnatury dokumentów, które chciałabym przejrzeć. Niestety, w czasach wojny wszystko jest znacznie trudniejsze, co zrozumiałe. Ale też wojna była towarzyszką ostatnich lat/miesiący życia Jana Mazura, więc widać tak już musi być. Czasy mojego poety są już bardzo odległe. Ostatnia koleżanka ze studenckiej grupy Jana Mazura, której skład widniał na wspomnianym dokumencie z grudnia 1939 roku, zmarła w sędziwym wieku w 2012 roku. Nie ma już szans na spotkanie kogoś, kto by go pamiętał. Ale żyją dzieci, wnuki przyjaciół, znajomych, kto wie, może znajdują się oni także w gronie czytelników „Kuriera Galicyjskiego”? Może ktoś gdzieś o nim słyszał, może jego postać widnieć na jakimś zbiorowym zdjęciu w rodzinnym albumie, choćby przez przypadek? Może ktoś kojarzy Marię Blachaczek? Kto wie? Będę wdzięczna za każdą, nawet najdrobniejszą wskazówkę.

Czy są zamiary, aby jakoś upamiętnić Jana Mazura?

Najlepszym upamiętnieniem jego postaci do historii literatury byłaby publikacja jego kompletnej biografii wraz ze wszystkimi tekstami. Także tymi, które w 1938 roku były już w druku. Oby się to udało!

Dziękuję za rozmowę.

Z cyklu „Lwowskie tęsknice”

Hej, tak byk se poseł teroz
z owieckami w hole,
ka se ino trowka młodo
i biolućkie skole,

ka se ino smereków rzędy
kołysom sie w śpiwywie.
Usiodbyk se ka na piocuku
i cuł sie szczęśliwie.

I owiecki by sie pastry
dokole smerecków...
Ja byk ino słuchół, słuchół
muzyki zwonecków.

Roz kiela cos byk zaśpiywoł
Sabałowom nute,
słysałyby mie chmureczki
po niebie ozsute,

i słysałyby mie turnie
nad skrowkami lasów,
bok jo juhas noświarniysy,
ze syćkik juhasów.

Hej, sełbyk se teroz w hole,
hej, sełbyk se, Boze,
aleś Ty mie tu do miasta
prziwiązoł powroze.

Tekst ukazał się w antologii pt. „Poezja młodego Podhala”, wydanej w Krakowie także 1937 roku. Cykl „Lwowskie tęsknice” nie wszedł do wydanego już wówczas autorskiego tomiku Jana Mazura pt. „Z wyskokik Tater wiaterny sum”. Zdaniem Anny Mlekodaj ten cykl pochodzi z drugiej, przygotowanej wówczas do druku książki. Być może miała ona właśnie taki tytuł „Lwowskie tęsknice”.

Zamek w Buczaczu

Zamki kojarzą się nam przeważnie z czymś romantycznym. Wiele ich jest zwłaszcza na wschodnich terenach dawnej Galicji, ich zaś największą liczbą może poszczycić się Ziemia Tarnopolska. Przedstawię dziś naszym Czytelnikom dość stary i niesłusznie nieco zapomniany zamek w miejscowości Buczacz, leżącej na zachodnim pograniczu Podola.

PETRO HAWRYŁYSZYN

W mieście są ruiny zamku, cerkiew obronna pw. św. Mikołaja z ok. 1610 r., liczne zabytki w stylu barokowym, m.in. ratusz, kościół parafialny, klasztor i cerkiew bazylianów, cerkiew Opieki (Pokrowy) NMP figury przydrożne św. Jana Nepomucena i Niepokalanego Poczęcia Marii Panny fundacji Mikołaja Bazylego Potockiego.

Ruiny słynnego buczackiego zamku położone są w centralnym punkcie miasteczka na prawym brzegu rzeki Strypy. Swego czasu były to potężne fortyfikacje, broniące miasto i okolice przed najazdami. Miejsce pod budowę zamku wybrano idealne – na skalistej wyżynie, której strome urwiste brzegi z trzech stron omywały wody niewielkiego potoku, dopływu Strypy.

Polski historyk Stanisław Nicieja uważa, że pierwszy – drewniany – zamek wybudowano w XII w. Natomiast Świątosław Hordyński twierdzi, że początki zamku sięgają co najmniej XIV w., bowiem z tego okresu pochodzą odnalezione pod jego murami fragmenty gotyckich kolumn i kapiteli.

Pisemne notowania o zamku pochodzą z 1373 lub 1379 r. gdy Buczacz należał do rodu Buczackich. Wiadomo, że zamek powstał na ruinach wcześniejszych umocnień. Michał Awdaniec otrzymał od księcia Władysława Opolczyka Buczacz, więc i okolice tego miasta, prawdopodobnie w kilku etapach. W latach 1372–1379, po uzyskaniu nadania, ufundował w Buczaczu kościół parafialny, następnie farny (dzisiaj na jego miejscu jest Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Buczaczu). Zaś w r. 1393 (?) r. uzyskał zgodę króla Władysława Jagiełły na założenie miasta Buczacza na niemieckim prawie magdeburskim. Od nazwy miasta ta gałąź rodu Awdanów przybrała nazwę Buczackich.

Zamek wielokrotnie był niszczony, następnie odbudowywany. Szczególnie często działo się to w XVI w. w czasie tatarskich, tureckich czy mołdawskich najazdów. Współczesne ruiny są pozostałościami po wybudowanej w połowie XVI w. warowni dzięki wsparciu ówczesnych władców Buczacza – Buczackich-Tworowskich herbu Pilawa. W 1580 r. ukończono kolejną przebudowę fortecy. Francuz F. Daleirac, będąc na zamku w 1584 r. tak go opisuje: „Wybudowany z kamienia na kilka wysokich pięter na bardzo grubych i mocnych murach stoi nad miastem na szczycie wysokiej góry. Dziedziniec zamkowy, dekorowany szeregiem galerii i wieloma innymi detalami architektury, kryje w sobie piękną fontannę, bijącą źródłem czystej i chłodnej wody”.

Na początku XVII w. buczacki zamek był jednym z najważniejszych zamków Podola w stylu „antemurale”. Po śmierci męża jego właścicielką została Zofia Zamechowska. Na początku 1614 r. osobiście



MAKIETA BUCZACKIEGO ZAMKU W MUZEUM KRAJOZNAWCZYM. AUTOR ROMAN ZACHARIJ, 2004 R.



WIDOK NA ZAMEK, 2008 R.

dowodziła obroną zamku przed wojskami Jana Jerzego Radziwiłła, wspieranego przez siły Stanisława Włodka, który wyrobił sobie prawo intromisji na Buczacz. Po przekupieniu żołnierzy z załogi zamek został szybko zdobyty.

Po przejściu Buczacza na własność około 1620 r., Stefan Potocki z małżonką Marią Mogilanką wspierali rozbudowę zamku. Wówczas poszerzono jego południową stronę, wystawiono dwie półokrągłe bastieje od wschodu i zachodu (według innych danych – od południa). Dzięki tej przebudowie, tzw. „angulowej”, zamek był podobny do innych podolskich twierdz – w Jazłowcu, Brzeżanach, Trembowli czy Sydorowie, które umacniano w ten sam sposób. Prawdopodobnie rozbudowę jego części mieszkalnej dokonali ci sami budowniczowie, co na zamku w Złotym Potoku. Wskazuje na to ten sam sposób rekonstrukcji części pałacowej w obu zamkach.

Mury fortyfikacji sięgały 4 m grubości. Od strony wewnętrznej zachowały się kamienne wsporniki-kroksztyny, wykorzystywane jako podstawy ganków strzeleckich. Strzelnice przystosowane były do prowadzenia ognia krzyżowego. Na górnych piętrach murów wybudowano drewniane galerie bojowe. Legendy mówią o licznych korytarzach podziemnych, dających możliwość wyjścia poza mury zamkowe. W XVII w. zamek przetrzymał wiele oblężeń tatarskich, tureckich i kozackich, broniąc mieszkańców miasta (przeważnie Polaków i Żydów). W 1672 r. Buczacz oblegały wojska turecko-tatarskie pod dowództwem Mahometa IV. Właściciela zamku w tym czasie nie było na miejscu i dowodzenia obroną podjęła się jego małżonka, Teresa (lub druga żona, Urszula z Daniłowiczów). Dowiedziawszy się, że obroną zamku kieruje kobieta, najęźdźcy odstąpili od oblężenia. W 1676 r. forteca jednak padła pod oblężeniem



WYGLĄD ZAMKU Z LOTU PTAKA, 2008 R.



NAROŻNIK MURÓW ZAMKOWYCH, 2013 R.

wojsk tatarsko-tureckie pod dowództwem bejlerbeja Damaszku Ibrahima Paszy, na przezwisko „Szantan”. Kolejny właściciel Buczacza, Jan Potocki (lub jego syn Stefan Aleksander) odbudował fortecę, o czym świadczy zapis z 1684 r. Za czasów panowania w Buczaczu Mikołaja Bazylego Potockiego w jednej z baszt był magazyn prochu.

Źródła pisemne z połowy XVIII w. wspominają, że fortyfikacje Buczacza były już opuszczone i zaniedbane. W 1772 roku miasteczko przechodzi pod władzę Austro-Węgier. W tym czasie zamek buczacki ostatecznie popada w ruinę. W XIX w. zamek zaczęto rozbierać na budulec i jego mury poszły na sprzedaż.

Pod koniec XIX w., dzięki inicjatywie dr Edwarda Krzyżanowskiego, prowadzono na zamku wykopaliska archeologiczne. Wydobyto wówczas kulę armatnią o wadze 200 funtów, 2 kule po 50 funtów, 2 kule po 15 funtów (te ostatnie wmurowano w mury kościoła Wniebowzięcia NMP pod tablicą z napisem „Z napadów tatarskich”).

Wśród badaczy zamku byli Aleksander Czołowski i Bogdan Janusz:

„Sam zamek przedstawiał ciężką budowę typu średniowiecznego, otoczoną i bronioną wysokimi ścianami z śladami wielu przeróbek. Wnętrze zupełnie zniszczone. Utrzymały się tylko resztki poszczerbionych ścian obwodowych, zbudowane w połowie XVI w. z kamienia

łamanego na wapiennej zaprawie. Rzut ich poziomy tworzył jajowaty owal, którego przód, na cyplu wzgórza, kończyła widocznie potężna, półokrągła baszta, tył zaś, od strony dostępnej, a wiele szerszy zamykał regularny pięciobok ścian z wielką półokrągłą basztą od wschodu. Mury tych ścian i baszty grube do 4 m., sięgają miejscami jeszcze do wysokości drugiego piętra i mają trzy kondygnacje strzelnic, każda dla ognia krzyżowego. Od wnętrza pod każdą kondygnacją, ślady kamiennych kroksztynów, na których opierały się ganki dla obrońców. Część mieszkalna zamku, niewątpliwie piętrowa, złożona z szeregu ubikacji, mieściła się w przodowej części w sąsiedztwie bramy. Świadczą o tem pozostałe otwory okien w ścianach zewnętrznych, pozbawione wszelkich ozdób. Obramienia kamienne powydzielane. Gdziekolwiek resztki jeszcze tynku, a w narożnikach zachowały się ślady kamiennych ciosów”.

Do września 1939 r. właścicielami zamku byli kolejni potomkowie Potockich. Ostatni z nich, Artur hrabia Potocki w latach 1930, jako przewodniczący Rady powiatu buczackiego, często zapraszał archeologów i ludność miejską do prac w podziemiach zamku, ale nic szczególnie nie udało się wówczas znaleźć.

Zdaniem Jana Sas-Zubrzyckiego, były dwa zamki w Buczaczu. Ruiny drugiego zamku znajdują się na wzniesieniu 200 m na południowy zachód od kościoła Wniebowzięcia NMP.

Polecamy wszystkim chętnym zwiedzić to urocze miejsce. Do zamku dojdzie można ul. Zamkową.

Na podstawie:

1. Бучач [Текст] // Мороз В. Замки і фортеці Тернопілля / В. Мороз. – Тернопіль: Підручники і посібники. – 2011. – С. 16-19.
2. Замок XVII-XVIII ст. м. Бучач Тернопільської [Текст] // Замки та фортеці. – Київ, 2007. – С. 228-231.
3. Кам'яна сторожа Бучача [Текст] // Бурма В. Привиди старих замків (Тернопільщина) / В. Бурма. – Тернопіль, 2011. – С. 189-200.
4. Лещинин А. Бучацька облога 1672 року [Текст] / А. Лещинин // Місто. – 2010. – 5 трав. – С. 13.
5. Aleksander Czołowski, Bohdan Janusz: Przeszłość i zabytki województwa Tarnopolskiego. Tarnopol, 1926, s. 67-70.
6. Два роdy подolskie. Miejsce Piastowe, 1932, s. 123.

Wspomnienie dowódcy ORP „Ślązak” w roku obchodów 80. rocznicy lądowania aliantów w Normandii

Z Podola na kres świata

6 czerwca 1944 roku świt powoli odsłaniał wody kanału La Manche. Z każdą minutą z ciemności wyłaniał się zupełnie niecodzienny widok. Na niewielkiej przestrzeni pomiędzy brytyjskim i francuskim wybrzeżem gromadziły się tysiące różnego typu jednostek pływających. W mrowiu tej niezwyklej armady swoje miejsce zajęły okręty Polskiej Marynarki Wojennej, a wśród nich ORP „Ślązak” dowodzony przez kmdr. por. Romualda Nałęcza-Tymińskiego.

MARCIN ARBUZ
WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE
IM. GEN. BRONI KAZIMIERZA
SOSNKOWSKIEGO

Udział Polskiej Marynarki Wojennej (dalej: PMW) w lądowaniu aliantów w Normandii był jednym z niewątpliwie najważniejszych wydarzeń podczas kilkuletniej służby żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych (dalej: PSZ) w okresie II wojny światowej. Operacja „Overlord”, która miała skutkować utworzeniem frontu w północnej Francji i umożliwieniem ostatecznego pokonania III Rzeszy była przygotowywana od wielu miesięcy. Jej pierwsza część, czyli desant morski został oznaczony kryptonimem „Neptune”. Do udziału w operacji oprócz tysięcy innych alianckich jednostek pływających wyznaczono pięć okrętów PMW. Były to OORP „Dragon”, „Błyskawica”, „Piorun”, „Krakowiak” i „Ślązak”. Historia udziału w operacji wymienionego na końcu niszczyciela oraz jego dowódcy jest tematem niniejszego tekstu.

Komandor

Romuald Nałęcz-Tymiński przyszedł na świat 13 listopada 1905 roku w Szenderowie. Była to położona na Podolu

miejsowość w powiecie Braclawskim. Przyszły marynarz pochodził ze szlacheckiego rodu herbu „Nałęcz”. Jak pisał w zyciorysie od 1917 roku uczył się w średniej Szkole Technicznej w Kamieńcu Podolskim. Rok później ewakuacja placówki spowodowana działaniami wojennymi zmusiła go do zmiany miejsca edukacji. Drugi rok nauki rozpoczął w kamienieckiej Szkole Handlowej Mazinga. W okresie tym zaangażował się w działalność patriotyczną, wstępując do dowodzonej przez Janusza Łączkowskiego I Męskiej Drużyny Harcerskiej. W roku 1918 przyszły marynarz rozpoczął naukę w Polskim Gimnazjum Społecznym w Kamieńcu Podolskim. Pomimo częściowego rozpadu struktur harcerskich Tymiński zgromadził wokół siebie grupę kolegów, z którymi pod koniec 1918 roku wszedł w skład dowodzonej przez Mieczysława Szulmińskiego I Drużyny Harcerskiej. We własnoręcznie spisany zyciorysie deklorował, że jako kapral objął dowództwo nad pierwszym zastępem i wkrótce dołączył do POW przyjmując pseudonim „Romuald Traugutt”. W Kamieńcu Podolskim przebywał w trakcie toczącej się wojny polsko-sockowieckiej, kończąc w międzyczasie gimnazjum i cały czas udzielając się w działającym konspiracyjnie polskim harcerstwie. W połowie września 1922 roku poprzez miejscowość Skala nad Zbruczem ewakuował się do Tarnopola i tam kontynuował naukę w III Państwowym Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika, gdzie w 1924 roku zdał maturę. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości został przyjęty do Unitarnej Szkoły Podchorążych w Warszawie, a w lipcu 1925 roku skierowany do Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej w Toruniu. Szkołę ukończył z drugą lokatą w swoim roczniku i 15 sierpnia 1928 roku otrzymał



KOMANDOR ROMUALD NAŁĘCZ-TYMIŃSKI BYŁ PIERWSZYM DOWÓDCĄ „ŚLĄZAKA”. OKRĘTEM DOWODZIŁ OD 30 KWIECZNIA DO 27 PAŹDZIERNIKA 1942 R., A POTEM OD 18 KWIECZNIA 1943 R. DO 13 WRZEŚNIA 1944 R. BIORĄC TYM SAMYM JAKO DOWÓDCĄ UDZIAŁ W OPERACJI „NEPTUNE”

promocję na stopień podporucznika Marynarki Wojennej. Od tego momentu Nałęcz-Tymiński regularnie piął się w górę po szczeblach marynarskiej kariery awansując i pełniąc służbę m.in. na OORP „Generał Haller”, „Mewa”, „Czajka”, „Wicher”, „Wilia”, „Smok” i „Iskra”.

Służba Tymińskiego przeplatała się z działalnością na niwie sportowej. Zamiłowanie i talent do boksu doprowadziły go w 1930 roku do zdobycia tytułu wicemistrza Polski WP

w wadze półciężkiej. Za osobistą aktywnością szła również praca na rzecz środowiska sportowego. Nałęcz-Tymiński w latach 1933–1935 kierował Samodzielnym Referatem Wychowania Fizycznego Kierownictwa Marynarki Wojennej (dalej: KMW), a od 1934 roku był w KMW również oficerem Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego. Zamiłowanie do pięściarstwa doprowadziło oficera do objęcia kierownictwa sekcji bokserskiej WKS „Legia”.



OBSŁUGA DZIAŁKA PRZECIWOLOTNICZEGO OERLIKON L/70 MK II KAL. 20 MM. ORP „ŚLĄZAK” PIERWOTNIE BYŁ WYPOSAŻONY W DWA TAKIE DZIAŁKA. W PÓŹNIEJSZYM CZASIE DYSPONOWAŁ CZTEREMA SPRĘŻONYMI PO DWA

W przyszłości kierował też taką samą sekcją w WKS „Flota”. Nie ograniczał się jednak do jednej dyscypliny. Z pasją trenował popularną wówczas w wojsku szpadę. I tu przejawiał niemały talent, bo w 1935 roku został mistrzem Polski WP, a w 1937 roku powtórzył ten sukces. Startował także w wieloboju zdobywając tytuł mistrza Marynarki Wojennej grupy oficerskiej w 1936 roku. Wojskową służbę na okrętach łączył ze startami w regatách jednostek cywilnych, a od kwietnia 1938 roku pełnił również obowiązki komendanta Ośrodka Szkolenia Jachtu Morskiego. W 1938 roku zaczął także wykładać w Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej w Bydgoszczy. W tej roli pełnił obowiązki zastępcy dowódcy szkolnego żaglowca ORP „Iskra”. Na pokładzie tego okrętu na początku maja 1939 roku wraz z grupą podchorążych wyruszył do Casablanki. Tam zastał go wybuch II wojny światowej. Koordynował wówczas m.in. morską ewakuację polskich lotników do Francji. Służył następnie na ORP „Gdynia”, a od 15 marca do 15 lipca 1940 roku był zastępcą dowódcy niszczyciela ORP „Błyskawica” biorąc udział m.in. w ewakuacji żołnierzy brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego spod Dunkierki. Następnie krótko służył jako dowódca będącego czasowo pod polską banderą francuskiego okrętu OF Pomerol. Na ORP „Gdynia” pełnił służbę od stycznia 1941 roku. We wrześniu powrócił na „Błyskawicę” jako zastępca dowódcy. W lutym 1942 roku został skierowany do stoczni w Newcastle aby nadzorować końcowy etap budowy okrętu HMS „Beadle”, który ostatecznie jako „Ślązak” trafił do PMW. Romuald Nałęcz-Tymiński wówczas w stopniu kapitana 30 kwietnia 1942 roku oficjalnie objął dowództwo okrętu. Zdał je 27 października. Odtąd, do kwietnia 1943 roku służył jako pierwszy oficer sztabu w Komendzie Morskiej „Południe”. Na „Ślązaka” powrócił 18 kwietnia 1943 roku. Okrętem dowodził po raz drugi do 13 września 1944 roku.

ORP „Ślązak”

ORP „Ślązak” był jednym z najbardziej zasłużonych okrętów PMW. Powstał jako brytyjski niszczyciel eskortowy typu Hunt II. Na polskie wyposażenie trafił jako trzeci po OORP „Krakowiaku” i „Kujawiaku”. Budowę okrętu rozpoczęto w maju 1940 roku, a ukończono 30 kwietnia 1942 roku i wtedy też marynarze PMW podnieśli na nim banderę po raz pierwszy. Nim nastał czerwiec 1944 roku, „Ślązak” miał już za sobą bogaty szlak bojowy. Początkowo zadania powierzone



ORP „ŚLĄZAK” WCHODZI DO PORTU W PORTSMOUTH. OKRĘT ZOSTAŁ SFOTOGRAFOWANY W TRAKCIE POWROTU SPOD DIEPPE GDZIE 19 SIERPNI 1942 R. BRAŁ UDZIAŁ W OPERACJI „JUBILEE”. NA BURCIE WIDOCZNE ŚLADY POZOSTAWIONE PRZEZ BOMBY LOTNICZE, KTÓRE SPADŁY WÓWCZAS W BEZPOŚREDNIEJ BLISKI OKRĘTU

ZE ZBIORÓW INSTYTUTU PIŁSUDSKIEGO W AMERYCE

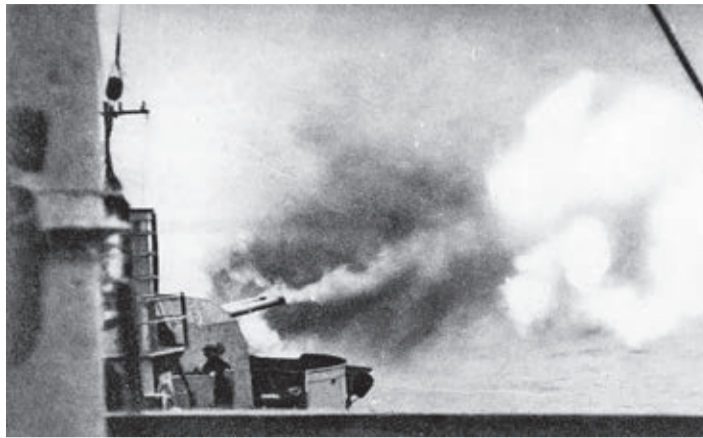
ZE ZBIORÓW INSTYTUTU PIŁSUDSKIEGO W AMERYCE

załodze okrętu polegały na rutynowym patrolowaniu wód kanału La Manche. Jednak już kilka miesięcy później ORP „Ślązak” wziął udział w operacji „Jubilee” – próbną inwazję aliantów pod Dieppe przeprowadzonej 19 sierpnia 1942 roku. Osłona floty inwazyjnej przed atakami z morza i powietrza stanowiła wówczas podstawowe zadanie załogi. Następnie okręt pełnił służbę eskortową przy wybrzeżu brytyjskim, zaś od początku 1943 roku do kwietnia strzegł statków kierujących się do portu w Gibraltarze. Wraz z końcem maja, po krótkiej przerwie na remont, został skierowany na Morze Śródziemne, aby tam dbać o bezpieczeństwo konwojów. Wziął też m.in. udział w inwazji wojsk alianckich na Sycylię w lipcu 1943 roku, wspierając działania ogniem swoich armat. Aliantów wspierał także podczas inwazji pod Salerno we wrześniu tego samego roku zapewniając przede wszystkim obronę przeciwlotniczą. W kwietniu 1944 roku rozpoczął się powrót „Ślązaka” na wody brytyjskie. W drugiej połowie miesiąca na okręcie dokonywano napraw remontowych w porcie w Devonport. Okręt najpierw przydzielono do 15 Floty Niszczycieli, a w ostatnich dniach kwietnia do sił inwazyjnych. Wówczas załoga rozpoczęła bezpośrednie przygotowania do operacji inwazyjnej. W połowie maja 1944 roku „Ślązak” ponownie przebywał w Devonport, gdzie dokończano zaczęte w kwietniu prace remontowe. Po kilku dniach okręt wrócił na kanał La Manche do końca maja uczestnicząc w patrolach, stanowiących przygotowania do czerwcowej operacji. W pierwszych dniach czerwca bazując w Spithead załoga szykowała się do dnia „D”.

Operacja „Neptune”

Pierwsza część operacji „Overlord” polegała na możliwie najlepszym przygotowaniu miejsca dla planowanego na 6 czerwca 1944 roku desantu morskiego wojsk sprzymierzonych. Prowadzone na kanale La Manche działania poprzedziły przeprowadzone bezpośrednio w nocy z 5 na 6 czerwca operacje powietrzno-desantowe. Alianci żołnierze zrzucając za linią wroga mieli zabezpieczyć kluczowe dla powodzenia operacji elementy infrastruktury i podejścia do plaż. Rozkaz do rozpoczęcia operacji „Neptune” 28 maja 1944 roku wydał głównodowodzący alianckich sił morskich admirał sir Bertram Ramsay. Ze względów logistycznych oraz przez ogromną liczbę jednostek pływających zaangażowanych do udziału w akcji proces grupowania floty na kanale La Manche musiał potrwać kilka dni. Bazujący w Spithead „Ślązak” na miejsce zbiórki ruszył 5 czerwca kilka minut po szesnastej wraz z innymi okrętami brytyjskiej floty. Głównym zadaniem polskiego okrętu w tym czasie była osłona brytyjskich trałowców, które oczyszczały podejścia do rejonu koncentracji dla floty inwazyjnej. Kilkanaście

minut po dwudziestej trzeciej „Ślązak” idąc przez przygotowany przez trałowce kanał zmierzał na docelową pozycję wyjściową, którą osiągnął kilka godzin później. Dowódca okrętu we wspomnieniach zanotował: „6 czerwca, o godzinie 03:03 przybyliśmy na pozycję patrolu, około dziesięć mil morskich od brzegów Normandii, naprzeciw Ouisterham i Le Havre”. Podstawowym zadaniem postawionym przed alianckimi okrętami w pierwszych godzinach operacji było wsparcie wojsk lądujących na francuskim wybrzeżu ogniem własnej artylerii. Drugim – osłona floty przed możliwymi atakami ze strony niemieckich łodzi podwodnych i „żywych torped”. „Ślązak” i inne towarzyszące mu okręty na właściwe pozycje wchodził pomiędzy 5:30 a 6:30. O godz. 6:40 polski okręt po raz pierwszy otworzył ogień w kierunku umocnionych niemieckich pozycji w rejonie Ouistreham. Niemcy odpowiedzieli ogniem. „Ślązak” zmieniając pozycję w celu lepszej osłony własnych jednostek zaczął przemieszczać się w kierunku rejonu desantu morskiego. Dowódca okrętu wspominał: „Ruszyliśmy w kierunku plaży, prowadząc ogień przeważnie z dziobowego dział do celów na lądzie. Niemieckie baterie strzelały w dalszym ciągu dość gęstym ogniem. Pociski padały pomiędzy okrętami i barkami, szczęśliwie nie trafiając nikogo. Podeszliśmy do około jednej mili morskiej od brzegu. Nie mogąc iść dalej z powodu małej głębokości, stanęliśmy burtą do brzegu i wzmocniliśmy natężenie ognia, strzelając całą baterią”. W kolejnych godzinach operacji „Ślązak” zmieniał pozycję i atakował cele na bieżąco wskazywane przez żołnierzy zaciekle walczących na francuskim brzegu. Późnym popołudniem po godzinie osiemnastej na pokładzie polskiego niszczyciela pozostała już reszta amunicji. W celu odtworzenia zdolności bojowych przed nadjeściem dziesiątej „Ślązak” został zlurowany przez jeden



ORP „ŚLĄZAK” PROWADZI OGIEŃ W KIERUNKU NIEMIECKICH POZYCJI NA NORMANDZKIM BRZEGU. ZDJĘCIE WYKONANO 6 CZERWCA 1944 ROKU PODCZAS D-DAY

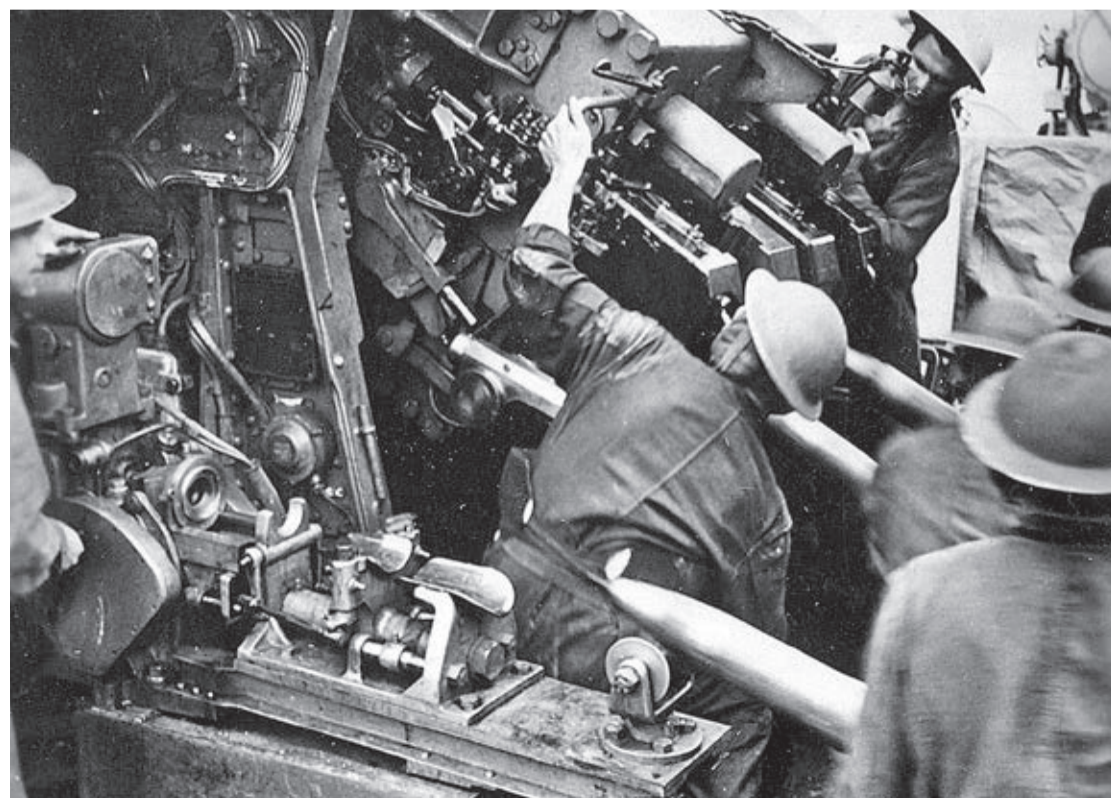
z brytyjskich okrętów i odszedł do bazy w Portsmouth. Z uzupełnionym zapasem paliwa, amunicji i niezbędnego zaopatrzenia 7 czerwca okręt ponownie ruszył w rejon lądowania. Od tej pory jego podstawowym zadaniem było patrolowanie wód kanału La Manche w celu osłony floty inwazyjnej przede wszystkim przed atakami Kriegsmarine. Spotkanie z niemieckimi ścigaczami torpedowymi stało się udziałem polskiego niszczyciela w nocy z 8 na 9 czerwca. Zespół, w którym operował „Ślązak” uszkodził wówczas jedną z niemieckich jednostek. W sobotę 10 czerwca rano „Ślązak” powrócił czasowo do atakowania pozycji wroga w rejonie Ouistreham przy użyciu swoich armat. Następnie ponownie przystąpił do patrolowania wyznaczonego rejonu. Rankiem 11 czerwca idąc do zajęcia pozycji ogniowych okręt wszedł na mieliznę co skutkowało uszkodzeniem wymagającymi naprawy. Mimo to „Ślązak” o własnych siłach stanowiąc część osłony brytyjskiego konwoju transportowego 13 czerwca dotarł do Spithead. Stamtąd na czele eskorty konwoju kierującego się do Londynu wyruszył w dalszą drogę. W środę 14 czerwca w celu wykonania napraw, okręt zawinął do portu w Sheerness gdzie do końca miesiąca przechodził remont. Tak zakończył się udział polskiego niszczyciela

esortowego w operacji „Neptune”. W PMW z powodzeniem służył on dalej, aż do 28 września 1946 roku kiedy to został zwrócony Brytyjczykom.

Niespełnione nadzieje i powojenna kariera

Wynik II wojny światowej dla żołnierza PSZ okazał się zawodny. Lata wymagającej służby, poniesione ofiary i faktyczne zwycięstwo aliantów nie przyniosły oczekiwanych rezultatów politycznych. Polska znalazła się pod kontrolą Sowietów. Panujące w kraju samowładze tylko pozornie pozytywnie ustosunkowane do PSZ w rzeczywistości patrzyły na tę formację ze szczególną podejrzliwością i niechęcią. Decydujących się na powrót do kraju żołnierzy bardzo często poddawano represjom politycznym, inwigilacji i szykanom. Informacje na ten temat docierały na Zachód. Żołnierze PSZ, a szczególnie oficerowie zmuszeni byli więc najczęściej do pozostania na przymusowym uchodźstwie, tym bardziej jeśli nie akceptowali żadnej formy współpracy z ówczesną władzą w Polsce.

Komandor Nałęcz-Tymiński dowództwo „Ślązaka” zdał 13 września 1944 roku. Następnie objął kierownictwo Referatu Wychowawczo-Oświatowego w KMW. Po zakończeniu wojny od końca czerwca 1945 roku służył na ORP „Conrad”, a od



OBSŁUGA ARMATY MORSKIEJ MK XVI KAL. 102 MM SFOTOGRAFOWANA W TRAKCIE PROWADZENIA OGNIEM. NA POKŁADZIE „ŚLĄZAKA” ZNAJDOWAŁO SIĘ SZEŚĆ TAKICH ARMAT ULOKOWANYCH PO DWIE NA TRZECH WIEŻACH

lipca 1945 roku do września 1946 roku dowodził okrętem, który ostatecznie zdał Brytyjczykom. W latach 1946–1947 jako dowódca Zespołów PMW pełnił służbę w Sztabie Floty Rezerwowej Royal Navy. W 1948 roku po demobilizacji podjął pracę w marynarce handlowej. Szukając możliwości dalszej służby na okrętach wojennych wyruszył do Azji. Znalazł bowiem angaż w Marynarce Wojennej Pakistanu, gdzie jako oficer kontraktowy służył w latach 1951–1959. Tymiński w marynarce wojennej tego kraju pełnił m.in. obowiązki dowódcy flotyli niszczycieli, a potem komendanta ośrodka szkolenia sił morskich, jednocześnie stojąc na czele garnizonu Manor zlokalizowanego przy wyjściu z portu w Karaczi. Po zakończeniu służby w Pakistanie Nałęcz-Tymiński przeniósł się na Wyspy Bahama. Tam w latach 1960–1979 pracował jako dyrektor portu Freeport. Wraz z zakończeniem aktywności zawodowej zdecydował się osiąść w kanadyjskim Scarborough opodal Toronto. Do końca swoich dni był aktywnym działaczem Stowarzyszenia Marynarki Wojennej. Osobiście zakładał kanadyjskie koło organizacji i był jego prezesem. Został również honorowym członkiem Stowarzyszenia Oficerów Marynarki Wojennej RP. Dbał o pamięć o dokonaniach PMW w trakcie II wojny światowej publikując na kartach periodyków tematycznych i uczestnicząc w obchodach rocznicowych. Swoje wojenne doświadczenia spisał w cytowanych tutaj wspomnieniach, które ukazały się drukiem w 1999 roku pod tytułem „Żagle staw – banderę spuść”. Był wielokrotnie honorowany zarówno polskimi jak i zagranicznymi odznaczeniami m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, trzykrotnie Krzyżem Walecznych, brytyjskim Distinguished Service Cross i Order of the British Empire. W dniu 15 sierpnia 2000 roku komandor Romuald Nałęcz-Tymiński został awansowany na stopień kontradmirała w stanie spoczynku. Zmarł 29 grudnia 2003 roku w Kanadzie. Prochy kontradmirała oraz jego żony powróciły do ojczyzny i 14 maja 2010 roku spoczęły w grobowcu na Cmentarzu Marynarki Wojennej w Gdyni. Kontradmiral Romuald Nałęcz-Tymiński pozostaje jednym z czołowych dowódców polskiej Marynarki Wojennej w dziejach.

Udział PMW w operacji „Overlord” jest jednym z najważniejszych dowodów istotnego wysiłku bojowego PSZ w trakcie II wojny światowej. Załoga ORP „Ślązak” pod komendą wybitnego dowódcy nie po raz pierwszy potwierdziła wartość polskiego żołnierza. W roku 80. rocznicy lądowania aliantów w Normandii warto więc wspomnieć o tych, którzy przyczynili się do powodzenia tej niezwykle złożonej operacji. Ku chwale polskiego oręża!

Lwowskie wystawy bożonarodzeniowe 2024

Lwowskie muzea i galerie artystyczne przygotowały do Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku tradycyjne już wystawy. To tradycja nie tylko z lat przed wojną ukraińsko-rosyjską, ale właśnie wojenna. Wystawy są widoczną stroną kulturalnego i artystycznego sprzeciwu społeczeństwa i artystów-twórców wobec agresji rosyjskiej. Bożonarodzeniowe wystawy deklarują, że tradycja i ducha narodu nie można zniszczyć. W kilku galeriach wystawy inaugurowano w dniu św. Mikołaja i to również tradycja. Twórczość większości współczesnych artystów (w znacznej swojej masie młodych absolwentów lwowskiej Akademii Sztuki) jest wyraźnie naznaczona tradycją sztuki ludowej i sztuki cerkiewnej XVI – XVIII wieków.

TEKST I ZDJĘCIA
JURIJ SMIRNOW

W prywatnych galeriach można nie tylko podziwiać prace znanych i mniej znanych artystów lwowskich, ale też kupić każde wystawione lub przedstawione na wystawie dzieło. Zawitaliśmy do dwóch cenionych galerii przy ulicy Ormiańskiej. Są to galeria „IconArt” i galeria „Zielona kanapa”. Na wernisażu w każdej z tych niewielkich galerii po prostu tłum ludzi, świąteczna atmosfera, podniosły nastrój. Lwowskie społeczeństwo żyje, tworzy, pracuje, nie jest załamane wojną. Wszyscy są pewni lepszego jutra, pod opieką Matki Bożej, Bożego Dzieciątka i św. Mikołaja. Tutaj żadna rosyjska propaganda i żadne ostrzały rakietowe nie mają szans. Panuje niezwykły nastrój świąteczny, panuje światło wiary, nadziei i miłości, które wskazuje nam wszystkim drogę ku przyszłości poprzez cud życia duchowego.

W galerii „Zielona kanapa” wystawiono ponad 50 dzieł współczesnych artystów, większość z nich została wykonana właśnie na tę wystawę, niektórzy twórcy pracowali nad nimi przez cały rok. Różne style i różne materiały, w których wykonano obrazy i rzeźby łączy tematyka, aura Świąt Bożego Narodzenia i wiara, że Nowy Rok przyniesie wszystkim nam zwycięstwo dobra nad złem i pokój.

Ołesia Domaradzka, organizatorka i kurator tej wystawy z wielką umiejętnością wybrała i umieściła w niewielkim pomieszczeniu znaczną liczbę dzieł sztuki. Wszystkie dzieła są bardzo udanie wystawione i zharmonizowane ze sobą kolorystycznie, tematycznie i nastrojowo, ale też często kontrastują stylowo. Na sali panuje spokojny, świąteczny nastrój, nastrój nadziei i wiary w lepszą przyszłość. W rozmowie z dziennikarzem „Nowego Kuriera Galicyjskiego” Ołesia Domaradzka opowiadała o przygotowaniu do wystawy, o współpracy z artystami, o tradycjach galerii i o planach. Między innymi powiedziała:

– Nasza bożonarodzeniowa wystawa jest tradycyjną i najważniejszą dla nas wśród innych tegorocznych wystaw. Przedstawiamy bożonarodzeniową wystawę w naszej galerii już po raz 18. Osiemnaście lat temu, na pierwszej wystawie przedstawialiśmy tradycyjne i w rzeźbie, malowane, lalkowe... Z czasem z każdą nową wystawą tematyka wzbogaciła się i obecnie przedstawiamy wszystkie tematy, związane z Bożym Narodzeniem, Nowym Rokiem, z całym cyklem świąt okresu



ANIŁOŁ NADZIEI

zimowego, jak mówią tradycyjnie od św. Mikołaja do Jordanu. Wystawa jest bardzo kolorowa, różnie planowa, jakby „jarmarkowa” i to też jeden ze sposobów tworzenia atmosfery święta. Znaczna liczba obrazów i rzeźb różnego formatu, zawieszonych na ścianach w kilku rzędach nie przeszkadza ich odbiorowi przez widzów, lecz przeciwnie – podkreśla walory każdej z nich, potęguje nastrój święta, atmosferę piękności, nastrój Bożego Narodzenia, przyścia nowego okresu w życiu naszego kraju i każdego z nas. Jest to atmosfera, nastrój czasu, w którym jest miejsce na cud, kiedy wszystko dookoła jest piękne, jaskrawe. Ludzie cieszą się tym pięknem, tą wiarą w swoim życiu i w życiu ludzi na tej ziemi, wiarą w lepsze czasy – przecież Bóg narodził się, przyszedł do każdego z nas, aby na ziemi był pokój. Wszystko co ciemne, przykre, niedobre chcemy pozostawić za sobą. Wierzymy, że Nowy Rok będzie lepszy, radosny, pełen nadziei.

W tym roku wystawiamy dzieła 48 artystów i to jeszcze nie jest rekord. W tej galerii wystawialiśmy nawet 59 dzieł sztuki. Dziś na wystawie większość artystów jest ze Lwowa, ale są też z Źgorodu, Kijowa, Łucka, Charkowa, Browarów. Jest nawet jedna artystka z Kutów, z samego



BOHDAN SAWICKI, WERTEP (KOLĘDNICY)



WERTEP (KOLĘDNICY)

serca Karpat. Na wszystkich naszych wystawach zbiorowych staramy się przedstawić twórczość artystów z różnych regionów Ukrainy i mamy z nimi dobre wieloletnie twórcze kontakty. Na wystawie przedstawiamy malarstwo, ceramikę, rzeźbę, szkło, wycinanki, malarstwo na szkło i na jedwabiu, gobeliny (w tym roku aż trzy). Różnorodność na każdy gust. Ceniśmy bardzo dzieła, które autorzy wykonują właśnie na wystawę, na wystawę bożonarodzeniową. Na przykład Iwan Prociw przedstawia cudowny wertep (szopkę). Obraz powstał z myślą o tej wystawie, duży obraz, ale bardzo skrupulatnie namalowany. Artysta współpracuje z galerią już nie pierwszy rok. Jest to jeden z kolejnych obrazów Prociwa na ten temat, ale każdy jest po swojemu ciekawy i oryginalny. Również specjalnie dla naszej wystawy powstał obraz Petra Sypniaka, który już od 18 lat maluje wertepy i za każdym razem potrafi dodać coś nowego i oryginalnego. Również oryginalny „Wertep” przedstawił Bohdan Sawicki. Znaczna część wystawionych prac została stworzona właśnie dla tej wystawy. Są to premiery tych dzieł,



OŁESIA DOMARADZKA

one jeszcze będą wystawione na innych wystawach i nie tylko we Lwowie. Artyści dostają zaproszenia na naszą wystawę kilka miesięcy przed nią, a niektórzy nawet rok. Już dziś, na tej wystawie zamówiłam u niektórych artystów nowe dzieła na wystawę na Boże Narodzenie 2025. Do pracy nad bożonarodzeniowym obrazem trzeba mieć odpowiedni nastrój i odpowiednią porę roku. Jak powiedziała Anna Drul, jedna z przedstawionych tu artystek, najlepsza do tego jest właśnie atmosfera zimowa, możliwość spokojnego oglądania zimowej, zaciśniętej piękności przyrody. Dlatego gorąco modlimy się każdego dnia o zakończenie tej strasznej wojny, o Boży pokój na ziemi. Nasza wystawa też jest właśnie o tym. Jest na tej wystawie i obraz organizatorki Ołesii Domaradzkiej, która nie tylko jest wytrawnym historykiem sztuki, znawcą sztuki, zwłaszcza współczesnej, ale też utalentowaną artystką malarką. Wśród jej nowych dzieł jest obraz „Matka Boża Wspomożycielka w rozwiązaniu”.

Artystka mówi: – W Muzeum Narodowym we Lwowie na wystawie starych ikon z kolekcji Wołodomyra Iwanyszyna zobaczyłam ikonę ludową „Bogurodzica Wspomożycielka w rozwiązaniu”. Byłam zaczerwowana tym rzadkim tematem, wcześniej nic na ten temat nie widziałam i pod tym wrażeniem postanowiłam namalować swoją ikonę na ten temat. Boże Narodzenie to też temat o narodzeniu nowego człowieka i ten temat jest bliski każdemu, każdej kobiecie. Narodzenie dziecka to też cud, cud przyrody, cud Boży.

Zwracamy uwagę na prezentowane oryginalne dzieła, między innymi z radością poznajemy prace znanych nam artystów. Oto piękny witraż „Anioł nadziei” Natalii Gajdasz, kolejny z jej serii Aniołów witrażowych, które z sukcesem artystka przedstawiała na wystawach we Lwowie, w Kijowie

i w Polsce. Obok – oryginalny świecznik huculski, kopia słynnego świecznika z filmu „Cienie zapomnianych przodków” i pełna bólu kompozycja Ołgi Tureckiej „Dom, którego już nie ma”. Ta praca wykonana jest w szkło, i jest wrażenie, że w każdym momencie może również być zniszczona. Wojna, niestety ujawnia się w twórczości artystów lwowskich w wielu tematach i kompozycjach. Oryginalnie wyglądają też gobeliny, między innymi Justyny Senczuk „Kontrasty” i Aliny Zwizdeckiej „Wszystko moje, wszystko ma nazwę Ukraina”.

Ołgia Barna przedstawiła swoją pracę w technice mieszanej (batik, gobelin), którą nazwała „Narodzenie miłości”. Wszystkie gobeliny mają raczej abstrakcyjne formy, gobelin Aliny Zwizdeckiej jest wykonany w narodowych kolorach ukraińskich. Nastroju świątecznego dodają zimowe widoki Karpat autorstwa Andrija Czyżowa pod tytułem „Carpathians”, czy też jaskrawy obraz Piotra Smetana „Boże Narodzenie”. Piotr Smetana to jeden z najbardziej znanych artystów przedstawionych na tej wystawie. Pochodzi z Sambora, mieszka we Lwowie. W 2016 roku jego obrazy zostały wystawione na wystawie „Gaude Polonia”, zaś w 2022 roku cykl jego obrazów „Zmartwychwstanie” został zaprezentowany w Wenecji na słynnym „La Biennale di Venezia”. Ciekawą technikę wykonania demonstruje Daria Zawiałowa w kompozycji „Świąteczne-Nostalgiczne”. W tradycyjnym malarstwie temperą jest wykonana „Madonna” Wiktorii Dubowyk, czy też „Dary trzech królów” Hanny Żywotowskiej.

Wystawa w „Zielonej kanapie” ukazuje nie tylko różnorodność tematów, ale też różnorodność wykorzystanych materiałów i bogactwo technik wykonania. Jakkolwiek brzmi to paradoksalnie, ale wojna sprzyja nie tylko rozwojowi świadomości ukraińskiego społeczeństwa, ale też potęguje rozwój ukraińskiej kultury i sztuki. Jest to jeden z frontów walki z rosyjskim okupantem. Właśnie przez zjawiska kultury świadomość Ukraińców prezentuje się jak najbardziej jaskrawie.

Uwaga do wydarzeń dnia dzisiejszego (nawet w tematach tradycyjnych i w formach sztuki ludowej) jest bardzo charakterystycznym zjawiskiem dla estetyki, kultury i zainteresowań twórczych młodszego pokolenia artystów lwowskich, w znacznej mierze absolwentów lwowskiej Akademii Sztuki. Ciekawe wystawy bożonarodzeniowe przedstawiono też w kilku innych galeriach i muzeach lwowskich, na przykład w Muzeum Narodowym im. A. Szepetyckiego pod tytułem „Nowa ikona”, w Muzeum Iwana Franki, w galeriach „IconArt”, „Madame Palmgren” i w świątyni garnizonowej pw. św. Apostołów Piotra i Pawła (dawnym kościele oo. jezuitów). O tych wystawach – w kolejnym reportażu.



ANDRIJ CZYŻOW, CARPATHIANS



Legendy starego Stanisławowa (cz. 100)

IWAN BONDAREW

Wojna o telewizor

W pierwszych miesiącach niezależności Ukrainy władze w obwodzie były w rękach szefa władz Mykoły Jakowyny. Jego zastępcą był niejaki Wasyl Pawłyk. Aby wybudować pion władzy w marcu 1992 r. Kijów wprowadził w obwodach posadę Przedstawiciela Prezydenta – odpowiednika obecnych szefów Rad obwodowych. W naszym obwodzie został nim właśnie Pawłyk.

Od pierwszej chwili pomiędzy władzą ustawodawczą i wykonawczą zawiązał się trwały konflikt, który z czasem nabral form tragikomicznych. Gazeta „Zachodni Kurier” jaskrawo opisała emocje wirujące w gabinetach władzy.

„Podstawa demokracji na Przykarpaciu – „Biały Dom” na Hruszewskiego 12 – został zszokowany. Jego licznymi korytarzami szerzyła się wieść, że z sekretariatu przewodniczącego Rady obwodowej p. Mykoły Jakowyny w noc z 11 na 12 czerwca zniknęła kolorowa telewizor, odczytanej marki „Elektron-C380D” – duma całej Rady. Litera „D” w nazwie oznaczała to, że była możliwość oglądania programów na decymetrowym zakresie fal.

Zguba szybko się odnalazła. Nieznani osobnicy przechwycili własność Rady obwodowej i przenieśli ją do przeciwległego skrzydła budynku, do sekretariatu Przedstawiciela Prezydenta w obwodzie p. Wasyla Pawłyka. Wczoraj z rana z jaśniejącymi twarzami urzędnicy aparatu Władzy obwodowej przy okrzykach „Hura” przywrócili skonfiskowaną własność na jej pierwotne miejsce”.

Bitwę o telewizor p. Jakowyna wygrał, ale wojnę o władzę w obwodzie przegrał. Niebawem został pozbawiony swych pełnomocnictw i przeniesiony do Kijowa na posadę zwykłego wiceministra kultury.

Pieniądze nie cuchną

Cesarz rzymski Wespazjan zapadł w pamięci potomków nietradycyjnymi posunięciami finansowymi. Imperium stało potrzebowało pieniędzy i aby uzupełnić budżet Wespazjan nałożył podatki na... toalety publiczne. Gdy wiadomość o tym podatku obiegła Rzym, do cesarza przyszedł jego syn, Tytus, którego cechowała uczciwość. Spadkobierca zaczął robić ojcu wymówki, że nie jest to najlepszy sposób pozyskiwania pieniędzy. W odpowiedzi mądry monarcha podsunął mu srebrną monetę i rzekł: „Pieniądze nie cuchną!”.

Tą wytyczoną przez cesarza drogą w 1992 r. poszedł pewien mieszkaniec Frankiwska, którego gazeta „Zachodni Kurier” określiła, panem T. Ten obywatel zorganizował biznes na... moczu. Pracował w miejskiej przychodni przy ul. Franki i miał dostęp do analiz. Ilość



KOLOROWY ODBIORNIK TELEWIZYJNY „ELEKTRON-380D” W 1990 R. BYŁ SYMBOLEM WYSOKIEJ POZYCJI SPOŁECZNEJ



STARY PAROWÓZ NA DWORCU WE FRANKIWSKU, 1994 R.

solu i cukru w zawartości analizy mało go interesowała – pan T odnosił śluczki po analizach do punktu zbioru surowców wtórnych. Dziennikarze policzyli, że miesięczny zarobek od tego procederu dochodził do tysiąca rubli. Tymczasem pracownicy fabryki obuwia w Kołomyi zarabiali wówczas po 867 rubli.

Trumna przed Białym Domem

We Lwowie jest popularna legenda o czarnej trumnie. Dawniej w ratuszu zasiadali ławnicy, rozsądający sprawy kryminalne i mający pełnomocnictwo do ogłaszania wyroków śmierci. Pewnego razu skazali na śmierć kogoś, oskarżonego o morderstwo. Mężczyźnie ucięto głowę – ale z czasem okazało się, że był on niewinny. Po tym wyroku w ratuszu pokazała się zjawa

– czarna trumna, ze strasznym wyciem i jękiem latająca nocami po salach i korytarzach ratusza. Aby taka pomyłka nie powtórzyła się w przyszłości, sędziowie umieścili na okładce książki kroniki ławników wielki napis: „Pamiętaj o czarnej trumnie!”. Franiowski też posiada swoją „czarną trumnę”, ale nie latała ona po magistracie, lecz stała przed „białym domem”.

Na początku lat 90. XX w. w przykarpaccich wioskach toczyła się zaciepka walka pomiędzy Cerkwią greckokatolicką i prawosławnymi autokefalistami. Pisarz Taras Prohasko wspomina: „Wówczas toczyła się kilkuletnia wojna odczyniana. Przy tym, prawosławni byli przeważnie dziećmi i wnukami dawnych grekokatolików. W wielu wypadkach przyczyną tego chaosu była walka o majątki. Czyli – część cerkwi zwracała się do grekokatolików, a części nie zwracano, część przejmowano siłą, zaś bronili je prawosławni...”

Jedno z takich wydarzeń miało miejsce w 1992 r. Mieszkańcy wioski Czarne Ostawy nie mogli podzielić cerkwi i cmentarza – część mieszkańców nie pozwalała innej konfesji chować swoich zmarłych na wiejskim cmentarzu. Doszło do tego, że rodzina zmarłej 96-letniej p. Kozłowskiej przywiozła trumnę z ciałem do Frankiwska i postawiła przed gmachem administracji obwodowej – wspomnianym białym domem”. Obwodowi



PRZYCHODNIA PRZY UL. FRANKI

urzędnicy przez dłuższy czas nie mogli zagasić konfliktu i trumna stała tak przez 9 dni. Wreszcie społeczność wioski jakoś doszła do porozumienia i p. Kozłowska została pochowana w tych warunkach i znów je zakonserwowano.

Kolejowa retrospekcja

Możliwie, że ktoś z mieszkańców naszego miasta pamięta, jak na początku lat 1990. na naszym dworcu pojawiły się stare parowozy. Po torach przeciągały wagony towarowe i strasznie dymyły. Najgorzej było znaleźć się na kładce nad torami w chwili przejazdu takiego monstrum. Nie dość, że nie było czym oddychać, to jeszcze odzież pokrywała się cząsteczkami kopciucha. Zniknęły te parowozy tak samo nagle, jak się pojawiły.

Po wielu latach udało mi się odnaleźć osobę, która dokładnie opowiedziała mi, co wówczas działo się na kolei. Maszynista Wołodymyr Jackiw wspomina, jak latem 1993 r. władze kolejowe postanowiły przeprowadzić eksperyment z oszczędzaniem paliwa. W tym celu rozkonserwowano dwa parowozy marki ER, stojące w Śniatyniu. Paliwem do nich było drewno i węgiel, co w warunkach kryzysu było o wiele tańsze niż diesel do wykorzystywanych na stacji lokomotyw spalinowych. Jednak parowozy były za słabe, często psuły się, ale maszyniści, aby wykonać plan, uciekli się do sposobu: w dzień, gdy kierownictwo było na dworcu,

wykorzystywano stare parowozy, a popołudniami – gdy ich już nie było – puszczano bardziej nowoczesne diesle. Eksperymentalne ER-ki przepadły w tych warunkach i znów je zakonserwowano.

Po latach – za rządów ministra Grigorija Kirpy – większość starych parowozów pocięto na złom.

Celewicz czeka na rocznicę

Pewnego razu zadzwonił do mnie krajoznawca Bogdan Hawryliw i spytał, czy czasem nie posiadam zdjęcia tablicy pamiątkowej Juliana Celewicza z ulicy jego imienia. Pan Celewicz był naszym rodakiem. Urodził się w miejscowości Pawelecze, został historykiem, jako pierwszy gruntownie opracował historię Skitu Maniawskiego i rzetelnie badał historię karpaccich opryszków.

W 1993 r., z okazji 150 rocznicy urodzin historyka, przemianowano na jego cześć ul. Bojczuka, w dzielnicy Pasieczna. 26 marca tego roku odsłonięto tam tablicę pamiątkową. Obok podobizny historyka był tam napis: „Ulicę nazwano na cześć wybitnego ukraińskiego historyka, etnografa, pedagoga, urodzonego w miejscowości Pawelecze, JULIANA CELEWICZA (1843-1892)”.

Niestety, tablica nie przetrwała długo. Wykonano ją z aluminium pomalowanego pod brąz i dlatego szybko „dostała nogi”. Odbyło się to tak szybko, że nawet nie zdążono jej dobrze sfotografować. Gdy Bogdan Hawryliw przygotowywał materiały o Celewiczu, nie mógł znaleźć żadnego jej zdjęcia.

Tablicę opracował artysta Mykoła Tymkiw. Niedawno poznałem jego syna Igora, również rzeźbiarza, od którego dowiedziałem się, że w pracowni zachowała się makieta nieszczęsnej tablicy i że absolutnie nie jest trudno z tej makiety wykonać nową tablicę. Bez użycia metali kolorowych, jedynie zwykły beton, będzie kosztować około pięćset dol. USA. Może ktoś z mieszkańców ul. Celewicza zapragnie odtworzyć zaginioną tablicę na swej ulicy? A można też poczekać do roku 2043, gdy obchodzić będziemy 200 rocznicę jego urodzin i władze koniecznie sobie o nim przypomną.



GMACH ADMINISTRACJI OBWODOWEJ, „BIAŁY DOM”

Gazeta Poranna kończy rok 1924

Prasa lwowska przy okazji świąt Bożego Narodzenia podsumowywała rok miniony. Zobaczmy, czym raczyła swoich Czytelników „Gazeta Poranna i Wieczorna”.

OPRACOWAŁ
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

20 grudnia Gazeta donosiła w rubryce „Z dnia”:

Nastrój przedświąteczny

Wszystkie place zaroily się gajami Bożych Drzewek, wystawy sklepowe przybrały wygląd zupełnie niecodzienny. Tu lśnią i błyszczą świecidełka i barwne ozdoby na drzewko, rozsypują się złote i srebrne nici, jaśnieją włosy anielskie... cukiernie i sklepy pokrewne ubrały swoje słodycze w jaskrawą i potyskliwą szatę, zasypały wystawy złocistymi i srebrnymi orzechami...

A w ślad za temi specjalnościami drzewkowymi także wszystkie inne towary przystroili się w emblematy świąteczne. Wyruszyło na pokaz wszystko, co sklepy lwowskie mają najpiękniejszego... a są to rzeczy naprawdę wspaniałe... nęcą wzrok i budzą pożądanie, sny o przepychu, bogactwie i użyciu...

Ale w przeciwieństwie do tych świetnych wystaw, wnętrza sklepów zięją jakąś niesamowitą pustką, jakimś niesamowitym przepychem – jak gdyby za skinieniem złej wróżki zastygło bujne życie w chwili tego dążenia do wyższej ekspansji...

Nie widać owych rojów przedświątecznej publiczności, przewijającej się po wszystkich sklepach, ani gorączkowej obsługi sklepowej, która zdaje się dwoić i troić, by nadążyć z ekspedycją klientów – nie widać na ulicy tłumów obciążonych pakietami, niosących do domów niespodzianki, podarki świąteczne. Nawet targi miejskie, piętrzące się stosami jabłek, pomarańcz, zachęcające podażą drobiu i innych artykułów dziwnie ospałe są i ciche...

Wszędzie odbija się rytm stagnacji, niskich płac urzędniczych... i brak dodatku świątecznego... Lecz może ostatnie dni przedświąteczne obudzą śpiącą królową?...

W tym samym numerze czytamy o pomocy rządu urzędnikom państwowym i kolejarzom:

Korespondent Warszawy dowiaduje się, że premier Grabski przyjął delegację centralnej komisji porozumiewawczej pracowników państwowych w sprawie sytuacji ekonomicznej i wyjednania zapomogi dla urzędników. Premier przedstawił delegacji poważną sytuację gospodarczą kraju.

Budżet państwa nie pozwalała na zaliczki dla urzędników, jednak rząd chce im przyjąć



PRZECHODNIE POWINNI PRZESTRZEGAĆ PRZYKAZAŃ NAWET NA UL. NENCKIEGO WE LWOWIE

z pomocą i załatwi ułatwienie sprzedaży nabytych akcji i zorganizowanie kasy pożyczkowej.

Premier wyjaśnił, że t. zw. renumeracja objęła tylko te instytucje, które poczyniły oszczędności i właśnie te oszczędności podzielono między urzędników. Wszystkim pracownikom zasiłku rząd nie udziela.

Natomiast dla kolejarzy Min. kolei komunikuje: nie mając dla braku funduszy: możliwości uwzględnienia starań związku urzędników o wypłatę 13 pensji, a chcąc przyjąć z pomocą kolejarzom, rozszerzył zakres udzielania zwyczajnych zaliczek bezprocentowych na pobory służbowe pracownikom kolejowym etatowym. Prócz tego zezwolił p. minister wszystkim dyrekcjom kolejowym na rozdział pomiędzy zasługujących na to pracowników,

nieużytych resztek kredytów zapomogowych i remuneracyjnych.

Powyzsze zaliczki i zasiłki będą dyrekcje przyznawały indywidualnie tak pracownikom etatowym, jak i nieetatowym do zasług i potrzeby.

Do czego taki stan rzeczy może doprowadzić, czytamy w artykule „Tragedia nieszczęśliwej dziewczyny”:

Przechodzący ulicą Leona Sapiehy zauważył wczoraj popołudniu w bramie kamienicy pod 1. 33 osuwająca się na ziemię młodą, przyzwyczajoną ubraną dziewczynę. Ktoś podszedł i ujrzał wijącą się w bolach pannę, która zbiegła wargami szeptała, by ją pozostawiono w spokoju, gdyż ma dość życia. Wezwano dozorczyńnię domu i ułożono nieszczęśliwą, w korytarzu, a równocześnie zatelefonowano po Pogotowie ratunkowe.

Niedoszła samobójczyni już po przybyciu Pogotowia prosiła, by jej nie ratowano. Jak z urywanych odpowiedzi jej wywnioskować można było, przyjechała ona przed dwoma dniami do Lwowa w celu



ANIOŁ IDZIE PRZEZ LWÓW, ILUSTRACJA Z GAZETY PORANNEJ I WIECZORNEJ

poszukania sobie posady biurowej lub w sklepie. Rodziny żadnej nie posiada i pozostawiona jest samej sobie. Posadę w Złoczowie straciła w czasie redukcji. Wyczerpawszy wszelkie środki do życia, przyjechała do Lwowa, gdzie od dwóch dni szukała zajęcia. Głodna i zmęczona niepowodzeniem, targnęła się na swoje młode życie przez wypicie 20 gramów jodyny, którą kupiła za ostatnie pieniądze.

Przywieziona na Stację ratunkową podała, że nazywa się Magdalena Przytocka i ma lat 24. Pogotowie odstawilo ją do Szpitala powszechnego.

A obok mamy reklamę:

PRAKTYCZNE PODARKI

Na Gwiazdkę w ogromnym wyborze poleca Magazyn Nowości A la ville de Paris Buciki męskie i damskie. GABRYEŁ STARK Lwów, pl. Marjacki 11.

Gazeta pisze też o „Orgii drożyzny na kiermaszach przedświątecznych”.

Do kwiatków wybijających na niwie wyzysku ze strony sprzedawców można dorzucić

spora garść szczegółów z targów przedświątecznych. Poczciwi przekupnie snadź uważają, że żadna cena nie powinna być za wysoka dla tego, który chce uczcić należycie święta i że w przeddzień tak uroczystych świąt, byłoby grzechem brać ceny dnia poprzedniego. To też na rynkach mamy formalne orgie drożyzny. Zdarzało się w ostatnich dniach, że niektórzy z przekupniów żądali po 40 groszy za jaję, choć cena ich normalna wynosi od 7 do 22 groszy. Ale już wszelkie granice przechodzi wyśrubowanie cen drobiu, indyki, gęsi, kaczki i kury podrożały co najmniej w dwójnasób i, co rzecz charakterystyczna, są bez porównania droższe na targach, aniżeli w sklepach. Gdy np. za indyka żądano w sobotę na rynku do 18 zł (w sklepach spożywczych można je było nabyć za 10-12 złotych. A przecież i na drób – jeśli się nie myli – istnieje jakaś cena taryfowa, czy zatem kontrola targowa, nie mogłaby zapobiedz podobnemu wyzyskowi?

Z tej samej rubryki „Z dnia” mamy wspaniałe i bardzo aktualne „Przykazania dla przechodniów”.

Ze względu na to, że coraz częściej słyszy się we Lwowie narzekania na nieznośny tłok na ulicach – ze względu na to dalej, że co raz częściej ktoś komuś nastąpi na nagniotki, wybije oko lub zęby, albo tak mu zastąpi drogę, iż biedaczysko opóźni się na najmiłszą w świecie randkę, do kasy, gdzie wypłacają pieniądze, lub w ogóle na spotkanie swego szczęścia – zaleca się przechodniom stosowanie się do następujących przykazań:

1. Idź zawsze prawą stroną chodnika i ustępuj na prawo, gdy się zetkniesz nos w nos z bliźnim swoim.
2. Nie pędź ulicą jak rozjuszony byk i nie pchaj tokci w boki tych, których chcesz wyminąć.
3. Jakkolwiek miłym jest widok licznej rodziny, nie idźcie wszyscy pod pachę, zwłaszcza, gdy was jest pięcioro lub sześcioro.
4. Nie róbcie na chodnikach ce-regieli towarzyskich.
5. Nie noście pod pachę laski ani innej rzeczy, którą można coniebać wybić bliźniemu.
6. Nie obstawiajcie wejść do sklepów, gdy nęci was piękna wystawa.
7. Nie rzucaj na chodnik odpadków i skórek z owoców, na których bliźni może złamać nogę.
8. Nie rozpędzaj się na rogach ulic, aby nie w paść jak bomba na wychodzącego z zakrętu bliźniego twego.
9. Nie pluj na chodnik i bacz pilnie, aby twój pies nie załatwiał na nim swych potrzeb naturalnych.
10. Chodnik wprawdzie należy do wszystkich, jak każe prawo komuny – niemniej nie powinniśmy się, idąc nim, zachowywać jak bolszewik.



KIERMASZ GWIAZDKOWY ZORGANIZOWANY PRZEZ WARSZAWSKĄ CHORĄGIEW ŻEŃSKĄ

Z przedświątecznych wiadomości miejskich mamy:

Nadchodzą święta Bożego Narodzenia, poprzedzone tradycyjnym wieczorem wigilijnym. W czasie, gdy siadają wszyscy do stołu, część Braci Technicznej nie mającej rodziny, pozostanie w murach Uczelni, by tu przy skromnie zastawionym stole kuchni technicznej spożyć wieczerzę wigilijną. Chcesz uprzyjemnić ten wieczór Braci Technicznej, chcesz, by wieczerza była więcej suta, to pośpiesz z datkami, które w jakiegokolwiek formie przyjmuje codziennie od godz. 1 do 2 Sekretariat Tow. Bratniej Pomocy na Politechnice.

Tradycyjna loteria świąteczna odbędzie się, jak co roku, w niedzielę, w sali Sokoła-Macierzy. Początek o godz. 4. Cel szlachetny i bardzo popularny. Chleb głodnym dzieciom i pomoc dla Domu sierót N.P.M. ściąganie niezawodnie tłumy publiczności. Loteria ta nie potrzebuje reklamy, ma swoją ustaloną sławę; i w tym roku fanty spożywcze ze wsi napływają obficie, a więc do wygrania będzie drób, dziczyzna, ciasta, owoce, bakalie, cukier, napoje etc., przytem orkiestra wojskowa, piwo i bufet wyborny i ceny bajecznie niskie, wstęp 70 groszy, cena losu 25 gr. Oto atrakcje zabawy niedzielnej, na którą niech cały Lwów się stawi!

W rubryce „Z życia prowincji” czytamy:

Kolomyja: Z niwy szkolnej. W tych dniach wizytował tujejsze szkoły wizytator okręgowy p. Piotrowicz i zastał wszystko w porządku i na odpowiednim miejscu. Niektóre siły nauczycielskie zredukowane mają wrócić do czynnej służby. Czyżby był to nowy, lepszy kurs w tujejszem szkolnictwie? Nauczycielstwo szkół powszechnych, zgrupowane w „Ognisku” pracuje bardzo nad swoim wykształceniem zawodowym, odbywa zebrania i omawia wszystkie ważniejsze kwestje, związane ze szkolnictwem. Nie można tego niestety, powiedzieć o Tow. nauczycieli szkół wyższych, które od pewnego czasu nie daje znaku życia.

Czortków: Wieczór pieśni. Ubogi jak zwykle sezon muzyczny, rozpoczął ten miły wieczór pieśni. Wykonawcy znani z występów we Lwowie. Wiązanka nazwisk na afiszu: Moniuszko, Gall, Friedmann, Bizet, Puccini, Czajkowski. – Gdyby nie pewne braki, jak źle ogrzana sala, rozstrojony fortepian, niezatkany otwór po wyjęciu osłony szeptarza, można by mieć w rażenie, że jesteśmy w Europie.

Publiczność, złożona w większej części z młodzieży oczekiwała cierpliwie, patrząc na strzępy brudnej kurtyny, na której był kiedyś podobno wymalowany widok miasta. „Punktualnie” wg miejscowego zwyczaju, otwarty się wrota sezamu (po co opuszczać kurtynę) i przemówiła pieśń.

Dusza się radowała na widok młodzieży, która w skupieniu



DZIECI LUBIĄ PREZENTY

śluchała. Żał mi tych młodych dusz, które tak rzadko mają sposobność słuchania muzyki. Dla młodzieży tujejszej nazwiska kompozytorów, to ciemna karta. „Koło muzyczne” uprawia z powodzeniem „dolce far niente”, zapewne czeka na ustalenie się zasad muzyki ćwiercetonowej. Dajcie młodzieży pieśni!

W numerze świątecznym mamy artykuł redakcyjny „**Boże Narodzenie**”, autorstwa J. P. (red. Jana Płockiego).

Dobre, ukochane święto... Święto wjeścia cudownej gwiazdy, która obwieściła ludziom Narodziny Dzieciątka – Boga Człowieka – co ludzkim sercem objął świat boską miłością...

I snadź dlatego iskra tej boskiej miłości, jej choćby najślabszy płomyczek, w dniu tym zapala skrę w każdym sercu człowieczem, zdaje się płonąć nawet w każdym stworzeniu, emanować łagodną dobrocią z każdej rzeczy na ziemi...

Znikają gdzieś urazy, swary i przeciwności, wróg nawet bratem się staje, gdy zabrmi pieśń anielska: „Chwała Bogu na niebiosach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”. I przy białym zasnutym stole wigilijnym,

i pod jarzącymi od świeczek i świecideł gałęziami Bożego Drzewka i przy spożyciu tradycyjnego opłatka; ogarnia nasze istoty jakaś błogość nadziemska, jakaś chęć czynienia dobrze, jakieś pragnienie sprowadzenia Królestwa Bożego na ziemię... Królestw miłości, w którym nie byłoby łez, bólu, jęku krzywdy, krzyku nienawiści.

A Boże Dziecię wstuchuje się w dźwięk tkliwej kołedy, uśmiecha się radośnie – chwytając w swe drobne rączki te wszystkie drobne iskierki dobrych uczuć, promieniujących z dusz ludzkich i bawi się nimi po dziecięcemu, choć blask mądrości wszechwiedzącej w oczach Jego świeci świadomością przelotności tej chwili, świadomością powrotu szarego, burzliwego dnia codziennego...

A jednak iskry dobrych serdecznych uczuć, zebrane drobnymi rączkami Dzieciny, nie zagasają lecz mnożą rok rocznie te światła na firmamencie dusz naszych, które pozwalają ludzkości dźwigać się z przepastnych rozpaczy i mimo wykolejeń i manewrów, iść drogą wzwyż, ku swemu boskiemu praźródłu.

Na zakończenie obowiązkowy kącik poetycki od Henryka Zbierzchowskiego:

Boże Narodzenie

Choć w naszym życiu szarem, bez koloru
Zostały tylko zgrzyoty i lament.
Wiliżnego wspomnienie wieczoru,
W duszy każdego błyszczą tak jak diament,
Bowiem w dzieciństwie tak się w pamięć wdarło,
Że ono jedno w sercu nie umarło.

Naprzd ten długi, niespokojny dzionek,
Szeptę rodziców i jakieś namowy,
Potem wigilija i w salonie dzwonek
I Boże drzewko w tunie kolorowej
I okrzyk dzieci dziki, wojowniczy
Na widok darów, paczek i słodyczy.

Cóż się ziściło z owych cudnych rojeń,
Gdy zasypiałeś przy dźwiękach kołedy?
Zgorzkniało serce, a kwiaty upojeń
Szalejem stały się z djabełskiej grędy.
Przez różne dzikie i nieczyste sprawki
Życie potłukło nam wszystkie zabawki.

Lecz ile razy zapłonę już drzewko
I wigilijna noc śniegami prószy,
Wyczarowane koledniczą śpiewką
Cudne dzieciństwo zmartwychwstaje
w duszy.
I te wspomnienia najczystsze, najśodsze,
Dla których każdy ukradkiem łzę otrze.

Została zachowana oryginalna pisownia.



TAKA POWINNA BYĆ ZIMA NA BOŻE NARODZENIE

Humor żydowski

Różnice

Ksiądz i rabin z Monasterzysk lubili się i często grywali razem w szachy. Któregoś wieczoru zgadali się o snach i postanowili opowiedzieć sobie następnego dnia, co im się w nocy wysniło.

– Śniło mi się – powiada ksiądz – że byłem w żydowskim raju. Bardzo tam było brudno i śmierdziało, kręciła się tam masa ludzi w łachmanach. To było bardzo przykre.

– A mnie się śniło – rzekł rabin – że byłem w chrześcijańskim raju. Pięknie tam było, pachniały cudownie kwiaty, bujne drzewa były pełne owoców, łagodny wietrzyk nawiewał balsamiczne powietrze... Tylko że tam było pusto, ludzi w ogóle nie było...

Pies z kotem

U rabina w Peczenizynie zjawia się para zdecydowana na natychmiastowe rozwiązanie swego związku. Wszelkie zabiegi rabina w celu pogodzenia skłóconych małżonków kończą się niepowodzeniem. Wtem wzrok rabina pada na wrzuszającą scenę dziejącą się na podwórzu, gdzie w błogim spokoju kot śpi oparty o brzuch psa. Rabin skinął ręką na małżonków i pokazał im tę scenę.

– Spójrzcie – powiada – oto odwieczne wrogie stworzenia, których nieprzyjaźń weszła do ludowych przysłów. A jednak, przy dobrej chęci, znalazły sposób na zgodne współżycie... Weźcie więc z tych stworzeń przykład i życie nadal w zgodzie.

Tak... – mówi na to kandydatka na rozwódkę. – To, co szanowny rebe powiedział, brzmi bardzo ładnie i nawet przekonywająco. Ale niech no rebe spróbuje związać tego psa z kotem, to zaraz wszyscy zobaczą, co z tego wyniknie...

Jak należy miłować bliźniego

Znany przywódca chasydzki rabi Mojżesz z Sasowa opowiadał swojemu młodszemu koledze rabiemu Cwi Hirszowi z Żydaczowa:

– Tajniki prawdziwej miłości bliźniego zawdzięczam rozmowie dwóch ruskich chłopów, której się przysłuchiwałem.

– Powiedz mi, przyjacielu Iwanie, czy ty mnie miłujesz?

– Bardzo cię miłuję.
– Czy wiesz, przyjacielu, co mnie boli?
– Skąd mogę wiedzieć, co cię boli?
– Jeśli nie wiesz, co mi dolega, jak możesz powiedzieć, że mnie miłujesz?

Rabi z Sasowa powiada do swego kolegi:

– Rozumiesz, Hirsz, miłować, naprawdę miłować, to znaczy wiedzieć, co drugiego boli!

Mistrz z Żydaczowa

Dwaj chasydzi w Nowym Sączu rozmawiali o cnotach i zasługach ich mistrza rabiego Chaima Halberstama. Jeden z nich zapytał:

– Dlaczego nasz mistrz przy każdej okazji o rabim z Ropczyc, którego był uczniem, mówi: „ten święty ropczycki”, natomiast rabiego Hirsza z Żydaczowa, u którego spędził niewiele czasu, tytułuje zawsze „mistrzem”?

Podczas tej rozmowy do domu naku wszedł wspomniany rabi Chaim. Dowiedziawszy się, o czym jest rozmowa, powiedział:

– W Żydaczowie byłem tylko dwa razy, a jednak z ust mistrza dowiedziałem się wszystkiego, o czym chciałem wiedzieć. Nie dowiedziałem się tego od rabiego ropczyckiego, którego uczniem byłem wiele lat. Niemożliwością było jednak przyswoić sobie jego nauki, ponieważ nieprzerwanie był on tryskającym źródłem wiedzy. Dlatego też nie nazywam go mistrzem...

OBYS ŻYŁ W CIEKAWYCH CZASACH,
JANUSZ WASYLKOWSKI

Ostatnie lata J. H. Rosena we Lwowie 1934–1937 (cz. 3)

Nie mając zamówień we Lwowie, Jan Henryk Rosen był zmuszony przyjmować zamówienia na polichromię świątyń prowincjonalnych, między innymi w kościele parafialnym w Krościenku Wyżnym (1936 r.), w nowo zbudowanym kościele w Podkowie Leśnej niedaleko Warszawy (1936 r.) w kaplicy Seminarium Duchownego w Przemyślu (1937 r.) i kościele w miejscowości Lesko niedaleko Sanoka (1937 r.). W 1937 roku artysta otrzymał zamówienie na wykonanie projektów witraży okiennych dla neogotyckiego kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa w Skarżysku Kamiennej w górach Świętokrzyskich. Projekty witraży do kościoła Najświętszego Serca Jezusa w Skarżysku Kamiennej były już ostatnią pracą J. H. Rosena wykonaną w kraju.

JURIJ SMIRNOW

Kościół w Krościenku Wyżnym, małej górskiej miejscowości w województwie lwowskim. Miejscowość odległa od Krosna o 5 kilometrów, leży w dolinie rzeki Wisłoka i powstała w XIV wieku za czasów króla Kazimierza Wielkiego. Miejscowy kościół parafialny pod wezwaniem św. Marcina został zbudowany dopiero w latach 1908–1910 według projektu lwowskiego profesora Teodora Talowskiego, wybitnego architekta projektanta wielu świątyń, m.in. kościoła św. Elżbiety we Lwowie. Była to świątynia neogotycka, zbudowana z nieotyńkowanej cegły na planie krzyża, z wydłużonym prezbiterium i transeptem, z wysoką wieżą-dzwonnica i monumentalnym frontem.

W latach 30. XX wieku ksiądz proboszcz Jan Telma rozpoczął remont kościoła i postanowił ozdobić go stosowną polichromią ścienną. W tej sprawie proboszcz konsultował się też z pochodzącym z Krościenka Wyżnego księdzem Gerardem Szmydem, proboszczem parafii św. Marii Magdaleny we Lwowie, znanym i cenionym duchownym. Ks. Szmyd stale utrzymywał kontakty z Krościenkiem Wyżnym i pomagał parafii. Właśnie ks. G. Szmyd polecił Jana Henryka Rosena, którego znał osobiście (w 1931 roku J. H. Rosen ozdobił polichromią kaplicę w kościele św. Marii Magdaleny). Ksiądz Jan Telma zwrócił się jednak najpierw do kilku innych artystów, pragnąc wybrać najlepszą (czy może najtańszą) ofertę. Według współczesnego monografisty dziejów tego kościoła ks. Jana Szpunara, znany lwowski malarz Julian Makarewicz ocenił wykonanie swego projektu polichromii na 28 000 złotych. Artysta malarz Witkowski, młody absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, pochodzący z sąsiedniej miejscowości Iskrzynia, zgodził się malować kościół za 11 000 złotych. Jego dość skromny projekt naśladował standardowe wzory z końca XIX wieku. Był to projekt przeciętny, bez polotu fantazji, który wcale nie odpowiadał ambicjom ks. Jana Telmy. Wtedy zaproszono właśnie J. H. Rosena, który przyjechał do Krościenka, obejrzał świątynię, której architektoniczne formy wywarły na nim wrażenie. Jednak i wymagania proboszcza były bardzo ambitne. Ściany wielkiego kościoła miały ozdobić pięć wielkich obrazów figuralnych i bogata polichromia inspirowana już powszechnie znaną polichromią Rosena w kaplicy Seminarium Duchownego we Lwowie. Rosen zgodził się na propozycję ks. Jana Telmy i to za bardzo skromne wynagrodzenie. Uzgodniono, że osobiście J. H. Rosen wykona projekt, osobiście namaluje



INSKRYPCJA I FRAGMENT ORNAMENTU

24 m2 obrazów i weźmie na siebie nadzór artystyczny nad wszystkimi pracami.

Polichromię roślinną-ornamentalną według projektu Rosena miał wykonać Kazimierz Smuczak. Do pomocy miał 14 malarzy, z nich trzech z ukończoną akademią sztuk pięknych. Rosen zgodził się wykonać swoją pracę za 7 000 złotych. Tyleż zapłacono K. Smuczakowi z pomocnikami. Nie budzi wątpliwości, że inspiracją projektu ozdobienia kościoła w Krościenku posłużyła polichromia Rosena w kaplicy Seminarium Duchownego we Lwowie. Było to życzenie księdza proboszcza, które podtrzymał też ks. Gerard Szmyd. Otóż projekt J. H. Rosena przewidywał wykonanie pięciu wielkich obrazów figuralnych, malowanych temperą na tynku, mianowicie „Poselstwo uczniów św. Jana Chrzciciela do Jezusa”, „Uzdrowiony trędowaty u stóp Jezusa”, „Św. Marcin dzielący się płaszczem z żebrakiem”, „Św. Cecylia z aniołem” i „Pan Jezus na krzyżu”. Obok każdego obrazu artysta wykonał inskrypcje w języku polskim z tekstem wziętym z Ewangelii i „Żywotów świętych” ks. Piotra Skargi.

Każdy obraz oraz inskrypcję otaczał ornament roślinny. Na wszystkich ścianach i sklepieniach umieszczono ornament roślinny. Szersze pasy ornamentalne zdobią łuk tęczowy i ściany nad przejściami z nawy głównej do bocznych. Na tych pasach obok stylizowanych liści i kwiatów Rosen umieścił liczne przedstawienia ptaków, siedzących na gałązkach lub fruujących. Ten szczegół wyraźnie nawiązuje polichromię świątyni w Krościenku do wzorów polichromii kaplicy Seminarium Duchownego we Lwowie. Bogactwo skali barw potęgowano użyciem złota.

W prezbiterium po stronie Ewangelii Rosen umieścił obraz przedstawiający „Poselstwo uczniów św. Jana Chrzciciela do Jezusa”. Po przeciwległej stronie – scena przedstawiająca Jezusa, a przed nim postać klęczącego Samarytana, jednego z dziesięciu trędowatych przez niego uzdrowionych. Obydwa obrazy namalowano na tle złotym. Malowidła zostały umieszczone na poziomie okien prezbiterium i obramione pasem dekoracyjnym. Po prawej stronie i nad obrazem umieszczono inskrypcje. Górna napisana czarną stylizowaną czcionką w języku polskim i obramiona szerokim pasem barwnego roślinnego

ornamentu z ptaszkami. Druga inskrypcja jest umieszczona po prawej stronie obrazu na całą jego wysokość. Tekst stanowi cytat z Ewangelii od św. Łukasza. Inicjały na obydwóch napisach Rosen namalował czerwonym kreską i wyłocili. Pole dookoła górnej części inskrypcji jest w całości wypełnione roślinnym ornamentem ze stylizowanymi ptaszkami. Fresk „Uczniowie św. Jana Chrzciciela u Chrystusa” w swoich wymiarach, umieszczeniem inskrypcji i otaczającym je ornamentem, jest bliźniacze do obrazu „Uzdrowiony trędowaty u stóp Jezusa”. Na fresku Rosen przedstawił Chrystusa i dwóch uczniów św. Jana Chrzciciela w małym, pustym pomieszczeniu z małym oknem. Taka aranżacja zbliża ten obraz do sceny przedstawiającej Eucharystię we lwowskiej kaplicy seminaryjnej. Bogatą bordiurę dookoła inskrypcji zdołał w dolnej części precyzyjnie wykonane przedstawienie pawia z ogromnym ogonem.

Fresk „Święta Cecylia z aniołem” Rosen umieścił w lewej nawie bocznej (pytanie dlaczego nie nad chórem muzycznym?). Nad malowidłem umieszczono inskrypcję i otoczono wspólną bordiurą z ornamentem roślinnym. Tekst inskrypcji pochodzi z „Żywotów świętych” Piotra Skargi. Czwarty obraz znajduje się w prawej nawie bocznej i przedstawia św. Marcina, patrona świątyni. Święty rycerz stoi w zbroi obok konia i według legendy ofiarowuje połowę swego płaszcza żebrakowi. Ten fresk różni się od innych dość bogatą gamą wykorzystanych przez artystę kolorów. Nad malowidłem długa inskrypcja z „Żywotów świętych” Piotra Skargi, w której opisano spotkanie św. Marcina z żebrakiem i sen świętego. Ostatnie – piąte malowidło pod chórem przedstawia Pana Jezusa na krzyżu, a pod nim stojącą Matkę Bożą wraz ze św. Janem Ewangelistą. Łęk tęczowy Rosen ozdobił bogatą w kolory i wzory szeroką bordiurą. Wśród stylizowanych liści i kwiatów artysta starannie wymalował wyobrażenia ptaków, mianowicie pawia (który powtarza się w kościele kilka razy), kolibra, lirników. Kronika kościelna zanotowała, że do wykonania złocień w kościele „użyto z topionego złota dukatowego wartości 3000 złotych”.

Nad wejściem na chór muzyczny umieszczono napis informacyjny: „Za pontyfikatu Jego Świętobliwości Piusa XI, Prezydenty Rzeczypospolitej Polskiej prof. Ignacego



ŚW. MARCIN DZIELĄCY SIĘ PŁASZCZEM Z ŻEBRAKIEM

Mościckiego, Ordynariatu Biskupa Przemyńskiego J. E. ks. dra Franciszka Bardy, staniem miejscowego proboszcza kanonika Jana Telmy, komitetu parafialnego: hrabiny Heleny Potockiej, Antoniego Michalskiego, Macieja Foly, Mikołaja Dębca oraz parafian, kościół ten wymalowany w Roku Pańskim 1936. Projektował polichromię i wykonał obrazy Jan Henryk Rosen. Polichromię wykonał Kazimierz Smuczak”. Polichromia kościoła pw. św. Marcina w Krościenku Wyżnym prezentuje wysoki poziom artystyczny projektu oraz wykonania. Całość polichromii robi silne wrażenie i jest dopasowana do neogotyckiej architektury świątyni autorstwa prof. Teodora Teofila Talowskiego, witraży autorstwa Stefana Matejki (wykonane w 1910 roku w Krakowskim Zakładzie Witraży i Mosaic S. G. Żeleńskiego) i neogotyckich ołtarzy wykonanych przez Andrzeja Lenika z Krosna. Roślinny ornament żywo przypomina karty średniowiecznych rękopisów iluminowanych, oczywiście zmodernizowany,

stylizowany w duchu sztuki lat 30. XX wieku, i inspirowany polichromią kaplicy Seminarium Duchownego we Lwowie, również autorstwa Rosena. Trzeba jednak podkreślić, że nie obrazy figuralne, lecz ornamenty roślinne i długie napisy inskrypcyjne dominują w polichromii świątyni. Na ten szczegół zwracał uwagę jeszcze podczas wykonania polichromii proboszcz Jan Telma, który między innymi pisał: „Obrazy na złotym tle, stylowe napisy i ornamenty roślinne czynią wrażenie stronic z rękopisów średniowiecznych. Jeżeli chodzi o same obrazy, zdania mogą być podzielone, może teksty z Ewangelii i „Żywotów świętych są przydługie, lecz całość robi wrażenie”. W „Kronice parafialnej” tenże ks. Jan Telma zapisał: „Piękna architektura ścian i sklepienia, rosenowska polichromia, barwne witraże, a nawet posadzka tworzą niezwykłą harmonię”. To zdanie jak najbardziej opisuje wrażenie, jakie wywiera ozdobienie świątyni i w tym ważne miejsce należy się Janowi Henrykowi Rosenowi.



ŚW. CECYLIA Z ANIOŁEM

Odmiana pszenicy „Wyganka” na cześć miejscowości Zaturce

Rok 2024 można nazwać rokiem pamięci wybitnego XX-wiecznego agronoma, urodzonego na Wołyniu, Stanisława Lipińskiego. W tym roku mija 140. rocznica jego urodzin i 70 rocznica jego śmierci. Aby dowiedzieć się więcej o tej postaci, jedziemy do niewielkiej miejscowości – Zaturce na Wołyniu. Tu mieszkał przez większą część swego życia. Naszą wędrówkę zaczynamy od rodzinnego majątku Lipińskich, którego pan Stanisław był ostatnim właścicielem.



STANISŁAW LIPIŃSKI

zawiera małżeństwo z Marią Lipską z miejscowości Szkleń z pow. łuckiego. Tu też przychodzi na świat ich starszy syn Julian. Po zakończeniu działań wojennych Stanisław powraca do rodzinnych Zaturców, ale już bez rodziców. Oboje zmarli daleko od rodzinnego domu. Działania wojenne całkowicie zniszczyły majątek i młoda rodzina zmuszona była rozpocząć życie praktycznie od zera.

– Stanisław natychmiast zajął się odbudową gospodarstwa – kontynuuje Wira. – Pierwszą zimę rodzina spędziła w ziemiance i dopiero w kolejnym roku udało się wyukończyć dla niej niewielki domek. Makietę obejścia przygotowali studenci Łuckiego Uniwersytetu. Przedstawiono tu rodzinny dom, pomieszczenia gospodarcze, spichlerz, suszarnię chmielu, gorzelnię i kuźnię. Odnowiono natychmiast działalność tartaku, bo deski i belki potrzebne były do odbudowy zniszczonych domów okolicznej ludności, które też zostały spalone przez działania wojenne. Aby wznowić prace na polach, Stanisław Lipiński zakupił traktor, bowiem około 30% ziemi ornej było przecięte okopami, umocnieniami wojennymi i lejami po wybuchach bomb i pocisków.

Po odbudowie cegielni młody gospodarz zaczyna odbudowywać zabudowania gospodarcze i dom rodzinny. Na wszystko nie starczało funduszy, przyszło mu zaciągać kredyty w bankach i towarzystwach kredytowych. W 1929 r. małżonkowie nareszcie przenieśli się do odbudowanego dworku. Zgodnie z opisem gospodarstwa, odbudowa majątku kosztowała 250 tys. złotych.

Złoty Krzyż Zasługi za działalność selekcyjną

Równoległe z odbudowa gospodarstwa i rodzinnego gniazda Stanisław Lipiński zajął się aktywnie działalnością naukową. Pracuje nad hodowlą nowych odmian pszenicy i ziemniaków. W 1928 r. w Łucku przebiegała Wołyńska Wystawa Przemysłowa, zaś Stanisław Lipiński był wśród jej organizatorów i uczestników. Na Wystawie agronom prezentuje własne odnowione gospodarstwo. Rok później rejestruje na jego podstawie gospodarstwo nasiennicze.

– Dyplom rejestracyjny zawiera wykaz nazw odmian ziemniaków i pszenicy,



STANISŁAW LIPIŃSKI Z RODZINĄ

wyhodowane przez agronoma. To takie gatunki pszenicy, jak „Wołyńka wczesna”, „Zaturecka” oraz ziemniaków „Woltman Zaturecki” i „Biała Zaturecka” – opowiada dalej Wira Czopko. – Oprócz roślin Lipiński zajmuje się również hodowlą krów gatunku „Polski Czerwony” i hodowlą owiec. Za swoje sukcesy selekcyjny i hodowlany w 1932 r. został udekorowany najwyższym odznaczeniem Rzeczypospolitej – Złotym Krzyżem Zasługi, a jego gospodarstwo rolnicze „Zaturce” w 1938 r. weszło na listę 50 najbardziej opłacalnych gospodarstw w kraju.

Stanisław – protoplasta dynastii uczonych

Plany uczonego-agronoma przekreśliła II wojna światowa. W 1939 r., gdy Czerwona Armia przekroczyła Zbrucz, Stanisław Lipiński pożegnał groby najbliższych – brata Wiaczesława, żony i małego syna – i wspólnie z pięciorgiem dzieci opuścił Zaturce. Udało mu się wywieźć do Polski rodowe archiwum i garść nasiennego materiału.

– Do Zaturców Stanisław Lipiński już nigdy nie powrócił – wyjaśnia Wira Czopko. – W Polsce kontynuował pracę naukową. Miedzy innymi z materiału nasiennego wywiezionego z rodzinnej ziemi wyselekcjonował nowe odmiany pszenicy „Wyganka” i „Stylowa”. Dalsze prace skoncentrował na selekcji ziemniaków. Jego droga życiowa skończyła się w 1954 r. w Sopocie. Dwójka z jego dzieci również została agronomami. Można śmiało powiedzieć, że Stanisław Lipiński był założycielem dynastii agronomów: jego córka Jadwiga i syn Jan z żoną Marią zajmowali się odmianami ziemniaków. Kolejne pokolenie Lipińskich – wnuk Andrzej z żoną i córką wyselekcjonowali nowe odmiany traw gazonowych.

Fundacja na kościół – od ojca i syna

Jak twierdzi pani Czopko, to właśnie potomkowie Stanisława Lipińskiego pomogli stworzyć ekspozycję muzeum. Potomków Stanisława i Wiaczesława Lipińskiego udało się odszukać dzięki krajoznawcom

Witalijowi Kusznirowi i Natalii Gatańskiej, inicjatorom utworzenia muzeum. Podstawą ekspozycji stały się kopie rodzinnych zdjęć i dokumentów z rodzinnego archiwum. Przekazali oni również naczynia i drobne przedmioty użytku codziennego. Syn Jan z małżonką kilkakrotnie odwiedzali Zaturce. Oprócz muzeum za każdym razem odwiedzali kościół św. Trójcy, gdzie do dziś pamiętają o dobroczyńcach Lipińskich i wspominają ich w swoich modlitwach

– Tę murowaną świątynię wzniesiono w XVII w. na miejscu poprzedniej, drewnianej, wystawionej dla zgromadzenia augustianów – wyjaśnia ks. Aleksander Gamalijczuk, proboszcz kościoła. – W czasie I wojny światowej kościół znacznie ucierpiał. Stanisław Lipiński dołożył się do odbudowy kościoła. Również rodzina Lipińskich przeznaczyła znaczne koszty na nowe szaty dla cudownego obrazu MB Zaturczańskiej i na pozłocenie koron, które przez wieki straciły blask.

Jak opowiada dalej ks. Aleksander, władza sowiecka zrobiła wszystko, aby zniszczyć świątynię – umieszczono w kościele magazyn nawozów, a z klasztoru sowieci pozostawili jedynie ruiny.

W 1992 r. świątynię zwrócono wiernym i wznowiono nabożeństwa. Dzięki dobroczyńcom zjawiała się tu kopia obrazu MB Zaturczańskiej. Oryginał obrazu jest obecnie w Polsce w miejscowości Tyratyn koło Hrubieszowa, dokąd przed przyściem sowieckim zdążył wywieźć ją ówczesny proboszcz. Niestety, mury kościoła w znacznym stopniu uszkodziły przechowywane tu nawozy sztuczne, odnowienie kościoła wymagało znacznych kosztów, dlatego prace w świątyni jeszcze trwają. Ks. Aleksander opowiedział, że podczas ostatniej przed swoją śmiercią wizytą do Zaturców, Jan Lipiński odwiedził kościół i złożył fundusze na odnowienie świątyni.

Sto wycieczek w ciągu roku

W ciągu 13 lat działalności muzeum rodziny Lipińskich obejrzało je tysiące zwiedzających z Ukrainy i zza granicy: naukowców, uczestników konferencji naukowych czy grup turystycznych. Jedni bardziej zainteresowani są działalnością polityczną Wiaczesława Lipińskiego, a innych – szczególnie rolników – interesowała selekcyjna spuścizna jego brata Stanisława. To właśnie w Zaturcach po II wojnie światowej założona została Wołyńska Rolnicza Stacja Badawcza.

Niestety epidemia covid19 i wybuch wojny miały znaczny wpływ na działalność muzeum w Zaturcach. Jednak, już w tym roku – jak twierdzi dyrektor – płacówkę odwiedziło już ponad sto wycieczek. Była tu również grupa uczestników polsko-ukraińskich „Szkoleń pojednania”, przebiegających w Integracyjnym Centrum w miejscowości Zamłyń.

– Po raz pierwszy byłem w Zaturcach przed otwarciem muzeum – dzieli się wspomnieniami uczestnik spotkania Anatol Kurnosow, ekspert stosunków polsko-ukraińskich. – Z kolegami dowiedzieliśmy się, że przetrwał tam majątek Lipińskich i przyjechalibyśmy zimą, aby zobaczyć co z niego zostało. Mielśmy szczęście, że spotkaliśmy miejscowego historyka Witalija Kusznira, który pokazał nam ruiny dworku i opowiedział jego historię. A już w następnym roku przeczytałem, że na odnowienie dworku przeznaczone zostały fundusze państwowe. Bardzo dobrze, że muzeum posiada własne pomieszczenie i rozwija się. Wymaga jednak stałego wsparcia. Dlatego, uważam, że potrzebny jest tu program państwowy na poziomie Ministerstwa Kultury Ukrainy. Potrzebne jest też opracowanie audio przewodnika po ukraińsku i w językach obcych, przynajmniej po polsku.

Mieszkał w ziemiance, aby odrodzić gospodarstwo z ruin

– Urodził się 9 (21 listopada) 1884 r., studiował w Kijowskim męskim gimnazjum nr 1, a po jego ukończeniu – na wydziale rolniczym Kijowskiego Uniwersytetu im. Św. Włodzimierza – opowiada Wira Czopko, dyrektor muzeum. – Dalszą naukę kontynuował w Lipsku, gdzie w 1910 r. uzyskał stopień doktora filozofii z agronomii. Po zakończeniu nauki Stanisław Lipiński powraca do Zaturców i tu gospodarzy ze swym ojcem Kazimierzem do wybuchu I wojny światowej.

– Dzięki swemu fundamentalnemu wykształceniu, stanął na czele komisji, mającej na celu perspektywę poprawy hodowli krów, przy radzie Towarzystwa Rolniczego we Włodzimierzu.

W czasie I wojny światowej rodzina Lipińskich chroni się w Kijowie. Tu Stanisław



MUZEUM



KOŚCIÓŁ W ZATURCACH

Zapraszamy do nabycia „Kalendarza Kresowego” na rok 2025

Drodzy Czytelnicy! Ukazał się „Kalendarz Kresowy” na 2025 rok, wydany przez Stowarzyszenie „Kuriera Galicyjskiego”. W kalendarzu umieściliśmy zdjęcia autorstwa naszych dziennikarzy. Osoby zainteresowane nabyciem kalendarza prosimy kontaktować się z nami za pośrednictwem maila: nowykuriergalicyjski@gmail.com lub telefonicznie +380 980712564

Stowarzyszenie „Kurier Galicyjski”

Dziękujemy! Łączymy pozdrowienia ze Lwowa!

